



RAJ PALMALU

JANKA ORSZY z BORÓWKI.

SPISAŁ

KAZIMIERZ KALINOWSKI

№ 91

NAKŁADEM NASZEGO ŚWIATA



192

№ 91

PRZEZ RAJ PALMALU



# PRZEZ RAJ PALMALU

PAMIĘTNIK JANKA ORSZY z BORÓWKI.

SPISAŁ

*N 291.*

KAZIMIERZ KALINOWSKI



Druk M. ARCTA w Warszawie, Ordynacka 3.

1913.

NAKŁADEM «NASZEGO ŚWIATA»



45 645

DODATEK «NASZEGO ŚWIATA»  
ZA LIPIEC 1913 R.

K-86/77/81936

W 91

I.

Opuszczenie wsi rodzinnej.—Trzy klasy szkolne w Warszawie. — Śmierć dobrodziejki. — Sprzedanie zagrody w Borówce i wyjazd z rodzicami do Brazylii.—Wspomnienie kolegów —Co Lolo Rozumek wie o Ameryce Południowej.

Już trzeci raz zabieram się do pisania pamiętnika. Lecz zawsze poprzednio po kilku dniach przestawałem spisywania swoich wrażeń, bo mi brakło wytrwałości.

Teraz przyrzekam sobie poprawę.

Zresztą dziś nie jestem już tym samym małym Jankiem, który wówczas odgrażał się dziecinnie, iż codzień będzie utrwał na papierze wszystko, cokolwiek zobaczy i usłyszy.

Pierwszym razem obiecywałem sobie pisać taki poufny dzienniczek, kiedy miałem zaledwie lat dziesięć. Chwila to była uroczysta dla mnie, bo opuściwszy wieś rodzinną, przyrzekałem się zdumionemu oczyma miastu: poznałem Warszawę, do której posłała mnie wła-

snym kosztem zacna dziedziczka Borówki, nieboszczka pani Dembińska.

Zaraz w parę godzin po przyjeździe, zapisałem się tam do szkoły, a nazajutrz, kupiwszy książki i zeszyty, przeznaczyłem jeden kajet na pamiętnik.

Ile w nim kartek zapisałem i co w nich było — nie pamiętam, a nawet sobie nie przypominam, gdzie się to podziało.

Po raz drugi zasiadałem do pisania dziennika własnych zdarzeń już nie dzieckiem, mimo lat bardzo młodych. Dobrze pamiętam tę chwilę tak niedawną i tak ważną.

Było to na okręcie, który z Europy wiózł na drugą półkulę setki chłopów z Polski.

Moja dobrodziejka już nie żyła i po trzech klasach, nie miałem za co kształcić się dalej w Warszawie. Ojcu zaś bieda strasznie dokuczała, więc za namową sąsiadów sprzedał zagrodę i zabrawszy żonę i dzieci, popłynął do Ameryki szukać lepszej doli.

Wziął mnie z sobą, licząc na to, że moje wiadomości szkolne pomogą całej rodzinie w dalekiej podróży po obcym świecie i ułatwią pobyt w Brazylii. Niestety, nie na wiele się przydałem. Gdybym nawet więcej umiał, nie wiem, czy byłbym co zaradził, by ulżyć biednym rodzicom w tem piekle brazylijskiem, w którym męczyliśmy się przeszło rok daremnie...

Co za szkoda, że nie mogłem spisywać tego dzienniczka, zaczętego na okręcie w podróży do Ameryki! Ale gdzież tam był czas i spokój na pisanie wśród owych strasznych przeżyć, jakie nas gnębiły nieustannie.

Co innego teraz. Jestem pewny, że nie trudno mi będzie notować tutaj swoje wrażenia prawie codzień. Szkoda nawet doprawdy, że tego nie zaczął wcześniej, choćby z chwilą opuszczenia Brazylii. Zawsze lepiej później, niż nigdy, a chyba nic nie może być zapóźno, gdy się ma dopiero lat piętnaście.

Mój Boże, iluż to rówieśników moich, iluż kolegów, których tam zostawiłem w szkole w Warszawie, zazdrościłoby mi tego mnóstwa nadzwyczajnych rzeczy, jakie ja widziałem już w tak wczesnym wieku.

Coby za to dał Stach Paklerski, albo Witek Bronicz, gdyby z nich który tak na mojem miejscu mógł podróżować po Ameryce Południowej i oglądać takie bajeczne dziwy, na jakie ja tu patrzę pod równikiem.

Oni tam biedacy w piątej klasie mogą co najwyżej złą cenzurę dostać, jeśli nie spamiętają z książki tego, na co ja patrzę własnymi oczyma. A choćby i najlepiej uczyli się z książek, nie nabiorą pojęcia o tem, co ja tu codzień przeżywam.

Ach, jeszcze widzę i słyszę, jak tam Lolo Rozumek stoi w klasie przed mapą i recytuje

monotonnym głosem wykuta z geografji lekcję: «Argentyna, Paragwaj, Urugwaj»... a nie ma wyobrażenia, gdzie to, co to!

Oniby tam uwierzyć nie chcieli, że Janek Orsza z Borówki chodził, jeździł, płynął po tych krajach, miastach, rzekach, morzach, które im tyle kłopotu sprawiają w nauce i tak się nie chcą trzymać pamięci. Ich wszystkich raczej stać na podróże, nie mnie, chłopskiego syna, który byłby chętnie chodził z nimi dalej do gimnazjum, gdyby było za co.

A tymczasem żaden z nich jeszcze morza nie widział, gdy ja już mam za sobą aż dwa oceany.

Ciekaw jestem, który z moich kolegów zdawałby sobie sprawę z tego, gdzie ja w tej chwili jestem, gdybym mu doniósł: «Zasylam ci pozdrowienia z nad Zarumilli»... Założyłbym się, że ani jeden nie odgadłby, iż rzeka ta dzieli Peru od Ekwadoru.

No, nic dziwnego. Przecież i ja na ich miejscu nie byłbym o takim kraju, jak Ekwador, wiedział więcej nad to, że go trzeba na mapie południowej Ameryki szukać w północno zachodnim kącie pod równikiem. Bo czyż mogłem sobie wyobrażać, że mnie los już w tak młodocianym wieku zaniesie do tej dziwnej rzeczypospolitej u stóp Andów nad oceanem Wielkim.

## II.

Po roku męki w Paranie, ucieczka do Rio Janeiro. — Pożegnanie z rodzicami. — Niespodziewane spotkanie z dawnym nauczycielem. — Podróż naukowa prof. Skierskiego. — Janek Orsza jego pomocnikiem i towarzyszem podróży. — Z Brazylii do Argentyny. — Koleją na poprzek Ameryki. — Stepy i góry. — Przez ocean Wielki.

Muszę przedewszystkiem zapisać, skąd się tu wzięłem i jakim sposobem dostałem się aż na zachodnie kresy Ameryki.

Było to w Rio de Janeiro (co się wymawia: Dżanejro), nad ową cudną zatoką, nad którą wznosi się ta wielka stolica Brazylii.

Przyjechałem tam z rodzicami po strasznych przeprawach, jakieśmy przeszli w tym obcym kraju zamorskim, szukając lepszej doli, a zwłaszcza w jednej z jego prowincji, w Paranie, gdzie mieszka już mnóstwo polskich wychodźców.

Kiedy ojciec stracił wszelką nadzieję założenia w Brazylii nowego gospodarstwa na roli, a do Polski wrócić z rodziną nie miał za co, przywędrował z nami do stolicy, by się ratować choćby od głodowej śmierci. Straciłszy już bowiem wszystko i stanąwszy na bruku w Rio de Janeiro, nie mieliśmy ani grosza. Szczęściem, zaraz nazajutrz po przybyciu do miasta, znalazła matka dla siebie służ-

bę, dokąd mogła zabrać z sobą i Halinkę, ukochaną moją siostrzyczkę sześćioletnią, ostatnią z rodzeństwa, które Bóg zabrał od czasu, gdyśmy opuścili ojczyznę. Jednocześnie dostał miejsce i ojciec. Najął się do ciężkiej pracy w plantacjach kawy.

Mój los tylko był jeszcze niepewny.

Właśnie siedzieliśmy na dworcu kolejowym, żeby pożegnać ojca, który za kilka godzin miał ze stolicy odjechać na plantacje do niedalekiej miejscowości i rozmawialiśmy głośno o tem, co ja mam począć, przyczem matka nie mogła się powstrzymać od płaczu.

Na otaczających nas ludzi nie zwracaliśmy uwagi, sądząc, że to sami obcy i po polsku nie rozumieją. Nie zauważyliśmy tedy, że przypatruje się nam pilnie w najbliższej grupie inteligentnych podróżnych jakiś młody mężczyzna.

Dopiero kiedy Halinka, trącając mnie, zapytała «czego ten pan tak na nas patrzy»? — podniosłem oczy na niego.

Wzrok nasz się spotkał.

Odrązu przypomniałem sobie, że twarz tego pana nie jest mi obcą, widziałem zaś, że i on sprawia wrażenie, jak gdyby sobie coś przypominał.

Jakaś pani ruszyła się z miejsca, a wtedy zobaczyłem go wyraźniej. Zerwałem się z ławki i krok ku niemu postąpiwszy, wprost w oczy

zajrzałem pod szerokie kresy słomkowego kapelusza.

— Przepraszam — krzyknąłem — czy pan profesor Skierski?

— Toś ty, Orsza! — zawołał on wtedy, jakby z radosnym uśmiechem na ustach — a skądże ty się tu wzięłeś?

— Ale co pan profesor tu robi? — pytałem, przepraszając, żem odrazu nie poznał swego ukochanego nauczyciela po paroletniem niewidzeniu, ponieważ na myśl mi nie przyszło, by mógł bawić nie w Warszawie, gdzie go zostawiłem.

Za chwilę wyjaśniło się, że pan Stefan, otrzymawszy świetne stypendjum dla celów naukowych, wyjechał na drugą półkulę na dłuższą podróż, dla odbycia wyższych studjów przyrodniczych. Był on zamilowanym znawcą i zapalonym wielbicielem ptactwa i dlatego, poświęcając się głównie ornitologii, marzył zawsze o takiej podróży do krajów międzyzwrotnikowych, by tam poznać żywcem to wszystko, co mógł badać jedynie martwe w muzeach.

Wspominał o tem pragnieniu swego życia, gdy mnie i garstce moich kolegów udzielał objaśnień w Gabinetie Zoologicznym w Warszawie w murach uniwersyteckich. Powtarzał to — pamiętam — i na wycieczkach zamiejskich, kiedy w polu i w lesie wykladał swym

uczniom nauki przyrodnicze, a rozmawiał ze mną w takich razach więcej, niż z innymi, bo należałem w szkole do paru jego ulubieńców.

Ale czyż mogłem przeczuwać naówczas, że profesor Skierski odbędzie kiedyś tę podróż w moim towarzystwie; że mnie, który jestem od niego o jedenaście lat młodszy, a skończyłem zaledwie trzy klasy, wybierze sobie za towarzysza i pomocnika w podróży dla badań naukowych!

Nie moja w tem zasługa: zawdzięczam to jedynie szczęśliwemu przypadkowi.

Pan Skierski, spotkawszy się ze mną niespodziewanie w Rio de Janeiro, skoro tylko usłyszał, w jak smutnem położeniu znaleźli się na obczyźnie moi rodzice, zapytał ich, czy godzą się, by mnie z sobą zabrał do Ekwadoru.

Ojciec i matka przystali na to chętnie, ja zaś z radością, bom widział, że nikomu z nich inaczej pomódz nie mogę, a nawet przeciwnie, byłbym im ciężarem.

Mój nowy opiekun zapowiedział mi, że nie tylko wszelkie koszta podróży sam pokryje i zapewni mi przez cały czas utrzymanie, ale jeszcze będzie mi płacił miesięczną pensję po czterdzieści rubli.

Słyszając to, ojciec szeroko oczy otworzył, bo mu trudno było uwierzyć, żeby syn jego w tak nieoczekiwany sposób otrzymał posadę, o jakiej sam marzyć nie mógł.

A jakież było dopiero zadowolenie rodziców, gdy im pan Skierski powiedział, że u jego boku podczas takiej podróży tyle się nauczę, iż będę mógł z łatwością potem w kraju dostać stałe i korzystne miejsce w jakimś dużym zakładzie, który zajmuje się wypychaniem ptaków dla użytku zbiorów naukowych.

O ile wielką była moja uciecha z tego wszystkiego, o tyle smutniejsze było rozstanie się z rodziną, którą odtąd miał mi zastępować mój starszy towarzysz podróży.

Kiedy po pożegnaniach zostałem z nim sam na sam, uczulem odrazu, że w tej chwili zaczyna się nowy okres w moim życiu.

Niebawem wspaniały okręt uwoził nas ze stolicy Brazylii przez ocean Atlantycki na południe.

Po kilkudniowej podróży przy pomyślnej pogodzie, wpłynęliśmy do limanu rzeki la Plata, a kiedy okręt zarzucił kotwicę w porcie Monte Video, który jest głównem miastem Urugwaju, przesiedliśmy się na mniejszy statek, który nas w kilka godzin przewiózł do Buenos-Aires, wspaniałej stolicy Argentyny.

Pożegnaliśmy w ten sposób na pewien czas morze, bo zwiedziwszy pobieżnie wielkie to miasto handlowe, ruszyliśmy w dalszą drogę koleją.

Przerznęliśmy teraz ląd Południowej Ame-



ryki w poprzek, zmierzając do stolicy rze-  
czypospolitej czilijskiej, Sandiego.

Przeważną część drogi koleją odbywaliśmy  
przez Argentynę, gdzie poznałem owe stepy,  
zwane «pampas», na których słynni z szalonej  
odwagi jeźdźcy — «gauczos» — wypasają nie-  
przeliczone trzody bydła i owiec, koni i mu-  
łów.

Poznałem i tych osobliwych pasterzy bliżej,  
ponieważ tu i owdzie wsiadali do naszego po-  
ciągu. Woląłem jednak patrzeć na nich zda-  
leka, z okien wagonu, kiedy się wśród swo-  
ich stad uwijali po stepie na niezbyt wysokich  
koniach z krótko przyciętą grzywą. Ogorzali,  
zwykle z gęstą, czarną brodą, noszą pilśniowy  
kapelusz z kresami w dół wygiętymi.

Całe ciało okrywa wełniana płachta w róż-  
nokolorowe pasy, zwana «ponczo», jakiej męż-  
czyźni używają wszędzie na zachodzie Ame-  
ryki Południowej. Kwadratową tę tkaninę wcią-  
ga się przez głowę umyślnym otworem, a o-  
słania ona obie ręce, zwisając po kolana.  
Jeźdźca bez poncza trudno tutaj spotkać, a  
gauczka argentyńskiego nigdzie nie widziałem  
bez tego okrycia.

Noszą oni przy długich butach tak duże  
ostrogi i strzemion, z drzewa zrobionych, tak  
dużych używają, że gdyby taki jeździec zja-  
wił się w polskiej wsi, toby się chyba na  
śmiech naraził.

Przy siodle z prawej strony gaucz ma zwi-  
nięty długi rzemień z kulą na końcu, tak zwa-  
ne «lasso», do chwytania w pędzie dzikich  
koni lub byków; jak zaś owi półdzicy pasterze  
władają tem zręcznie na stepie, mogłem się  
nieraz o tem przekonać naocznie i nigdy tego  
widoku nie zapomnę.

W dalszym ciągu drogi koleją, stepy usta-  
piły krajobrazem górskim: przeprowaliśmy się  
bowiem przez Andy, nad którymi w tych stro-  
nach króluje najwyższy szczyt amerykański,  
Akonkagua; poczem już wkrótce pociąg wy-  
sadzil nas w stolicy rzeczypospolitej Chili.

W Sandiego zatrzymaliśmy się nieco dłużej,  
by obejrzeć gabinety przyrodnicze, pełne zbio-  
rów fauny i flory południowo-amerykańskiej.  
Tutaj też kupiliśmy odpowiednie ubrania dla  
nas obu z mocnego żaglowego płótna. Pan  
Stefan sprawił sobie nowy kapelusz słomko-  
wy, jakiego zwykle używał, o ile nie było trze-  
ba kłaść nieprzemakalnej czapki; ja zaś uzbro-  
iłem swoją głowę przed słońcem w bardzo  
wygodny hełm z amerykańskiej słomki, opasa-  
ny białą ceratką, którą w razie potrzeby tak  
się na nim rozpina, by kapelusz zamiast od  
upału, mógł chronić od deszczu.

Tutaj zaopatrzyliśmy się też w dobre strzel-  
by i rewolwery, a przez ramię na białe bluzy  
nałożyliśmy sobie pasy z podręcznymi nabojami.

Nakoniec gotowi do dalszej podróży, wsiedliśmy jeszcze raz do wagonu kolejowego, by się dostać do sąsiedniego portu Valparaiso, skąd statek miał nas wieźć znowu na północ po spokojnych falach oceanu Wielkiego, wzdłuż zachodnich wybrzeży Chili i Peru.

Po tygodniu, pożegnawszy drugi już w naszej podróży ocean, wysiedliśmy w peruwiańskim porcie, Callao, skąd zaczęliśmy się wdzierać z powrotem w głąb lądu i to znowu zmierzając ku wschodowi.

Od tej chwili, chociaż tam właściwie był niejako początek celu naszej podróży, doznawałem wrażenia, że z każdym dniem przybliżam się do dalekiej ojczyzny. Wprawdzie ją ode mnie dzielił cały jeszcze ląd Ameryki Południowej w jego najszerszym rozpięciu; wprawdzie ją dalej dzielił ode mnie cały Atlantyk niezmierny i za nim cała jeszcze Europa, — mnie się jednak zdawało, że się naraz zbliżać zaczął ku tej ukochanej Polsce i tej sercu tak milej wiosce rodzinnej, zostawionej hen za Wisłą.

Więc na to, by porzucony szmat własnej ziemi odzyskać, muszę przebyć Palmal ekwadorski!

Zapewnia mnie pan Stefan, że tu istny raj nas czeka... A mnie szepce coś w duszy, że gdyby trzeba raz jeszcze przejść przez trzy-

króć sroższe piekło, niżeliśmy mieli w Brazylii, to na to gotów, byle przez nie wiodła droga do polskiej ziemi i polskiego nieba.

### III.

Na Pomorzu Peruwiańskim. — Fidżinos i Tahiti. — Co by o nich myślano w Borówce. — Chłop czy baba? — Kolorowi ludzie. — Nasi czekoladowi służący. — Język jakiego niema na świecie.

Nim znaleźliśmy się na granicy Ekwadoru, spędziliśmy przeszło miesiąc w Peru, zwiedzając osobliwości przyrody tego dziwnego kraju, w którym ludzie prawie nie znają deszczu, a nie widzieli nigdy burzy.

Nie chciałbym mieszkać w takim klimacie, by całymi latami błyskawic nie widzieć i nie słyszeć grzmotów.

Ale znowu mieć deszcz codzień — to chyba nie może być zbyt przyjemne.

A właśnie wkraczamy w świat drugiej ostateczności: mamy przebywać lasy dziewicze, gorące, ale wiecznie wilgotne, których słońce nigdy nie wysuszy, bo je codzień świeża zmoczy ulewa.

Podróżujemy we czterech: profesor i ja, oraz Fidżinos i Tahiti.

Gdyby kto z sąsiadów w Borówce dwa takie nazwiska usłyszał, toby chyba nie wie-

Przez raj Palmalu.



rzył, że mowa o ludziach. Prędzej by ten i ów przypuszczał, że wodzimy z sobą jakie dwa psy o tak cudackich imionach. Gdyby zaś widziano w Borówce naszych towarzyszków podróżny, to nawet nazwisk ich nie słysząc, orzeciono by jednogłośnie, żeśmy w zamorskich krajach kupili dwie małpy i jedną odziali w kaftan czerwony z niebieską spódnicą, a drugą w czerwoną spódnicę z niebieskim kaftanem.

Może to nieładnie z mej strony, że tak o nich piszę, ale się tem pocieszam, że mego pamiętnika odczytać nie potrafi ani Tahiti w niebieskim kaftanie, ani Fidżinos w kaftanie czerwonym.

Zresztą lubię ich obu i po kilku tygodniach obcowania z nimi przyzwyczaiłem się już do tych brunatnych towarzyszków naszej podróży. Ale mimo to, ile razy spojrzawszy na nich, przypomnę sobie wieś rodzinną, zawsze mi na myśl przyjdzie, że brano by ich tam za małpy. A już napewno nikt by z gospodarzy nie uwierzył, że Fidżinos z Tahitim są mężczyznanami, chociaż z nich każdy miecz ogromny nosi u boku.

Bo jakżeż inaczej... Kaftan w sam raz jak nosi nasza Kaśka, Maryśka, a dalej od pasa spódnica nie lepsza, nie gorsza, jak u naszych dziewczynek przy krowach...

A już spójrz na głowę: przysiągłbyś, że ba-ba. Nie dość, że twarz goła bez wąsa, bez

brody, ale jeszcze włos ukryty pod zawiązaną chustką kolorową lub kraciastą, podobnie się do owych chustek, jakie mojej mamie niegdys z Łomży miała zwyczaj przywozić nieboszczka nasza dziedziczka.

No, tylko ta skóra z czekolady, co z pod kolorowych materji u nich wyziera, różni Tahitiego i Fidżinosa od najciemniejszej baby w łomżyńskiej ziemi.

Pamiętam jedną w Borówce, której malutkim chłopakiem okrutnie się bałem, biorąc ją za czarownicę, chociaż się bardzo słodko nazywała, Ignasiowa. Twarz miała jak ziemia. Ale gdzież jej do Fidżinosa...

Co ja też widziałem już ludzi ras kolorowych, odkąd mieszkam na drugiej półkuli!

Zaraz po przyjeździe do Brazylii spotykałem czerwonoskórych Indjan i czarnych, jak smoła, Murzynów. Lecz rasę malajską, znaną mi przedtem jeno z kolorowych rycin, poznałem dopiero u wybrzeży oceanu Wielkiego.

Kiedysmy, mając wylądować w Peru, przybili do portu Callao, otoczył nas zaraz tłum o twarzach tak kolorowych, jakiego jeszcze nigdzie nie widziałem. Wśród Murzynów i Chińczyków, oraz rozmaitych mieszkańców peruwiańskich, zobaczyłem tam właśnie Malajczyków.

Skąd oni się wzięli w Ameryce, skoro mieszkają w Indjach Wschodnich i na wys-

pach azjatyckich, a oprócz tego jeszcze tylko w Polinezji?... Chcąc na to odpowiedzieć, trzeba widzieć zbiorowisko ludzi wszelkich narodowości, jakie się gromadzi na targu portowym w Callao. Słyszałem, że znajdzie się tam rozbójników, do których nie chce się już żaden kraj przyznać...

Co ci ludzie tam robią? — Współzawodniczą z Chińczykami, jako tak zwani «kuli», w najmowaniu się do wszelkiej możliwej służby.

Wśród takiej zbieraniny znaleźliśmy sobie owych brunatnych towarzyszy dalszej podróży, a wybrał ich pan Skierski dlatego, że zażądali trzy razy mniejszej zapłaty, aniżeli kolorowi Peruwianie i Ekwadorczycy, których miał ochotę wynająć.

Obowiązkiem ich jest ułatwiać nam pod każdym względem podróżowanie po tych ziemiach obcych, a zwłaszcza po okolicach dzikich, bez śladu cywilizacji.

Gdzie tego potrzeba, muszą się wystarać o schronisko dla nas na kilka dni i nocy, lub też o żywność; kiedyindziej ich rzeczą jest przeprowadzić nas przez rzekę, albo nawet odbyć pewną część podróży drogą wodną na wynajętej łodzi.

Oprócz tych wyjątkowych wypadków, podróżujemy jak dotychczas na mułach. Każdy z nas czterech ma własnego wierzchowca, nadto zaś jeszcze dwa muły, ciężko objuczo-

ne, wloką się za nami, dźwigając toboły z rzeczami, których nie da się pomieścić obok naszych siodeł.

Raz tylko, gdyśmy mieli bardzo trudną przeprawę przez góry, musiało się dokupić dla przeniesienia tych ciężarów dwie białe lamy, które następnie odsprzedaliśmy po drugiej stronie łańcucha Andów.

Z naszymi Malajami porozumiewamy się jakimś językiem, którego niema na świecie. Oni bowiem rozumieją mnóstwo wyrazów z kilku języków europejskich i w rozmowie z nami posługują się dziwną ich mieszaniną.

Profesor stara się mówić do nich po hiszpańsku, tak samo jak do wszystkich, z kimkolwiek w tych stronach mamy do czynienia. Wybierając się w podróż do zachodnich krajów Ameryki Południowej, pan Stefan umyślnie nauczył się po hiszpańsku. Teraz zaś mnie trochę wprawia, co nieźle idzie, ponieważ dużo rozumiem i trochę mówię w zbliżonym do hiszpańskiego języku portugalskim, jakiego nauczyłem się w Brazylii.

Fidzinos z Tahitim rozmawiają po malajsku, a z panem Skierskim najłatwiej byłoby się mogli porozumiewać po angielsku, bo tym językiem najbieglej władają; wymawiają jednak w taki sposób, że pan Stefan, chociaż sam od kilkunastu lat włada angielszczyzną, w żaden sposób nie może ich zrozumieć.

Wczoraj dopiero, mimo że już kilka tygodni przebywamy z nimi, dowiedzieliśmy się bliżej, skąd ołaj pochodzą i co ostatnimi laty porabiali zdala od swej ojczyzny.

#### IV.

Przez Zarumillę do Palmalu.—Czarodziejski ogród nad rzeką graniczną—Siwobrode olbrzymy na straży.—Dziwne byki.—Polowanie na kuropatwy—Mój strzał.—Myślą z Ameryki do Australji.—Białe orły z góry Kościuszki.—Świat dziwów—Nowozelandczycy na tułactwie.—Tęsknota dawnych ludożerców do ojczyzny.—Latające gwiazdki.—Wspomnienie Polski.—Sen o srebrnym ptaku.

Opuściliśmy właśnie Peru, przenosząc się do Palmalu w Ekwadorze i w tym celu przeprawiliśmy się w bród przez Zarumillę, która jest niedużym strumieniem, często wysychającym.

Dzień się miał ku wieczorowi, a ponieważ nigdzie w pobliżu nie było osady ludzkiej, gdzieby się można dostać na nocleg, przeto rozbiliśmy swój składany namiot, przed którym rozpałiło się ognisko dla przygotowania wieczerzy.

Zaczynało się już zmierzchać, a Fidzinos z Tahitim wzięli się do gospodarowania, gdyśmy rozejrzeli się po otaczającej nas okolicy.

Doznałem wrażenia, jakgdybyśmy się znaleźli w jakimś ogrodzie z bajki, w którym na straży stoją olbrzymie potwory z rozwartemi ramionami.

U stóp swoich mieliśmy dolinę rzeki. W jednym miejscu rzucały się w oczy małe równinki z białego piasku, na których rosły nieduże akacje w koronkowem listowiu. Gdzieindziej na gruncie mulastym roślinność bujniejsza uderzała nas zaraz na pierwszy rzut oka straszną płataniną powojów na niskich a gęstych krzewach pod wysokimi drzewami, jakie Ekwadorczycy mylnie nazywają hebanem.

Nieco wyżej wzniesiona, ciągnie się równina, pokryta prześliczną trawą jasno-zieloną, jakgdyby na gazonie sztucznego parku.

Właśnie na takim trawniku rozłożyliśmy się obozem, mając przed oczyma morze zieloności.

Wszędzie z nad tej trawy wznoszą się olbrzymie, w połowie wysokości rozdęte pnie bombaksów, o korze zielonej, ostrych kolcach stożkowych i potężnych konarach, pod którymi kupi się tłum mniejszych drzew cytrynowych, dziwnie powyginanych, a bardzo rozłożystych.

Liści koron prawie nie widać, bo wszystkie drzewa pokrywa suto szara «broda Absalona», której bujny włos w warkoczach i girlandach zwiesza się z konarów i gałęzi.

Owe brzuchate bombaksy z rozwartemi ra-

mionami wydały mi się wśród zarośli olbrzymimi starcami z siwą brodą, których tu postawiono na straży w czarodziejskim ogrodzie.

Z ciąglým świstem leśnych kuropatw, które niewidzialne nawoływały się nawzajem, mieszało się ponure ryczenie ukrytych za wałem lasu dzikich byków, o których słyszeliśmy od krajowców, że mają zwyczaj napadać na przejeżdżających, a wtedy grozi niebezpieczeństwo i mułom i ludziom.

Wyglądaliśmy zbliżenia się kuropatw z myślą, że uda się z nich parę upolować, gdy wtem z wielką wrzawą przeleciało nad nami ogromne stado papużek guajakwilekich. Z gwarem obsiadły gęsto korony kilku drzew, z których zielenią tak się zlało ich pierze w jeden kolor, żeśmy nic rozróżnić nie mogli, mimo, że było słycać wyraźnie ich szczebiot. Umilkły na chwilę, sposobiąc się zapewne do nocnego spoczynku.

Obiecywaliśmy sobie nazajutrz o świcie zawrzeć z niemi bliższą znajomość, gdy wtem Tahiti spostrzegł nieopodal i nam pokazał kilka kuropatw, żerujących na jasnej trawie w zaroślach.

Pan Stefan dał ognia raz i drugi dla użytku naszej polowej kuchni, a strzały, rozlegające się hukiem w ciszy zapadającej nocy, spłoszyły w sąsiedztwie kilku drapieżników,

których nie domyślaliśmy się wcale w najbliższej gęstwinie, gdzie po gałęziach uganiało mnóstwo wiewiórek.

Oto z za krzaków wyleciały piękne siwe jastrzębie węzojady, które w braku gadów polują i na wiewiórki.

Na ten widok zmierzylem i wypaliłem, zanim profesor zdołał swoją strzelbę nabić na nowo. Wspaniały okaz siwego ptaka runął nam prawie do nóg.

Fidżinos podbiegł bliżej i nachylając się nad nim, zawołał:

— Biały orzeł!.. Popatrz, Tahiti, przypominaśz sobie nasze polowania na białe orły?

Podnieśli z ziemi trupa i przypatrując się ptakowi, przyznali słuszność profesorowi, który zaprzeczal ich orzeczeniu i zapewniał, że to siwy jastrząb.

— A gdzieżeście to polowali na białe orły?

— Na górze Kościuszki — odpowiedział Fidżinos, wymawiając polskie nazwisko nader pociesznie.

Uderzył mnie dźwięk tego imienia i podniosłem oczy na pana Skierskiego, który dokładniej powtórzył nazwę góry.

— Jakto, Janku—rzekł do mnie—nie przypominaśz sobie, w której części świata znajduje się szczyt Kościuszko?

Istotnie, myślałem napróżno, nie mogąc sobie przypomnieć. Lecz w tej chwili obaj Ma-

lajowie zaczęli głośno z żywymi gestami opowiadać, że często ze swej wyspy rodzinnej, Nowej Zelandji, jeździli za lat młodych do sąsiedniej Australji i w Alpach tamtejszych i nad brzegami rzeki Murray trudnili się łowami na jakieś osobliwsze zwierzęta i ptaki, za które im dobrze płacono w najbliższych wielkich miastach: w Sydney lub Melbourn.

Dopiero słysząc to, uprzytomniłem sobie, że nazwisko naczelnika naszego narodu nosi najwyższy szczyt w Australji, która na wschodniem swoim pomorzu ma nie wyższe od Beskidu Alpy.

— Nie wysoki to szczyt—odezwał się pan Stefan — bo ma tylko 2240 metrów.

— I naprawdę — pytałem — na skałach góry Kościuszki gnieздzą się białe orły?

Pan Skierski dał mi odpowiedź twierdzącą, a Malajowie na to zasypali nas ciekawemi opowiadaniem o swoich łowach po skałach tej góry, u źródeł Murrayu.

Przyrzęдали wieczerzę nad ogniskiem, opowiadając bez przerwy, poczem gdyśmy wspólnie zasiedli do jedzenia, zaczęliśmy ich zapytywać o różne szczegóły co do flory i fauny Australji. To o lasy tamtejsze, z olbrzymich drzew gumowych i akacjowych złożone, z suchem, twardem liściem, jak skóra, koloru ołowianego; to o kangury i inne torbacze pyta-

liśmy; to o czarne łabędzie, o strusie, o papugi z długim językiem do ssania...

Ale więcej i chętniej na pytania profesora odpowiadali obaj o swej rodzinnej Polinezji, a w szczególności o Nowej Zelandji; o jej śnieżnych Alpach, o mnóstwie wulkanów czynnych i wygasłych; o kraterach buchających błotem lub parą gorącą, o źródłach, tryskających strumieniami wrzątku; o strasznych owych wybuchach, które znoszą i przenoszą góry, zasypują źródła i jeziora; to znowu o ogromnych strusiach, oprócz których na wyspie nie było niegdyś żadnych innych zwierząt, dopóki Europejczycy nie sprowadzili do Nowej Zelandji swoich owiec i świń, pasących się dziś na polach, obsianych europejskimi roślinami, gdzie w pierw szumiały tylko posępne lasy drzew paprociowych, jedynych przedstawicieli pierwotnej flory tego najciekawszego ogniska wulkanów na kuli ziemskiej.

Kiedy nam o tem wszystkim mówili długo w późny wieczór po kolacji, spoglądaliśmy z zajęciem w rozpromienione wspomnieniem stron rodzinnych twarze Malajów, którzy siebie nazywali Maori, zapewniając nas z dumą, że nie było na wyspach Polinezji śmielszych nad ich lud żeglarzy, ni dzielniejszych wojowników.

— Jeno coraz nas mniej — wzdychał z żalem Tahiti — odkąd napływają na Nową Zelandję osadnicy angielscy.

Patrzyliśmy na tych brunatnych wyspiarzy, których ciało pod barwnymi sukniami było jeszcze tatuowane, którzy w latach dzieciennych uczestniczyli ze swymi rodzicami jeszcze w uctach dzikich ludożerców; a którzy wraz z braćmi, jak prawie wszyscy Maori z Nowej Zelandji, stali się chrześcijanami i przyjęli w większej części obyczaje europejskie.

Już w latach młodzieńczych porzucili oni Polinezję i Australję, a popłynęli szukać zarobku po oceanie Wielkim wzdłuż zachodnich brzegów Południowej Ameryki, to zajmując się w portach do załogi statków, które na szereg miesięcy wypływały na wyprawę po wieloryby; to znów do robót w plantacjach i kopalniach, pospołu z Murzynami i Chińczykami.

Mijały im obu długie lata na tej wiecznej włóczędze pod obcym niebem, a przez ten czas każdy z nich marzył tylko o tem, by sobie więcej grosza uzbierać na powrót do ojczyzny. Dotychczas jak Tahitiemu, tak Fidzi nosowi szło z tem ciężko i daleko było do urzeczywistnienia pragnień. Teraz dopiero, gdyśmy się w ten wieczór dowiedzieli, obaj nabrali nadziei, że podróż z nami umożliwi im zaoszczędzenie sobie skromnego funduszu, z którym przeniosą się już na stałe do Nowej Zelandji.

Kiedy o tej wyspie rodzinnej mówili, zdawało się, że życie wśród strasznych wulkanów

musi tam być piekłem na ziemi. A jednak z każdego ich słowa widać było, że wszystkie westchnienia obu włóczęgów ulatują z utęsknieniem tylko między góry ojczyste, u których stóp upłynęło ich dzieciństwo. Zdawało się, że gdyby tym ludziom odebrać nadzieję powrotu w rodzinne strony, ręce by im opadły bezwładnie i stracili by wszelką ochotę do pracy, do życia.

Trzeba ich było widzieć i słyszeć w ten wieczór, kiedy na widok siwego jastrzębia, co się im wydał orłem białym z Alp australskich, przypomnieli sobie młodzieńcze wyprawy łowieckie. Naówczas mogli za każdym razem jeszcze powracać na swą wyspę; gdy później tak się od niej oddalili, że już nawet myśl o powrocie stawała się niemożliwością.

Czułem w ich głosie i w oczach ich widziałem tę serdeczną tęsknotę, jaka tych ludzi, niedawno jeszcze pół dzikich, ciągnęła napowrót do miejsca, gdzie stała ich kolebka i groby ich ojców zostały. Więc chociaż by tam było najgorzej, to jeszcze lepiej będzie pod tem swoim, niż pod cudzem niebem.

Myśląc nad tem, czułem jakgdyby wyrzuty sumienia, że należałem do niedobrych synów ojczyzny, co ją porzucają i w świat daleki idą szukać lepszej doli, zamiast własną pracą starać się polepszyć złą dolę rodzinnej ziemi.



Mówiłem o tem z panem Stefanem, który mnie pocieszał, że jeszcze tak młody, iż mam czas poprawą błąd mimowolny powetować.

Wtedy zwierzyłem się profesorowi, że pragnę, jak owi dwaj Maori, zaoszczędzić sobie pieniądze, jakie w tej podróży zarobię, na to, by umożliwić rodzicom wyrwanie się z niewoli brazylijskiej i wspólny nasz powrót za ocean do kraju.

Pan Sklęski nic na to nie powiedział, tylko mocno uściskał mi rękę.

A tymczasem noc już nas otoczyła, ognisko przed namiotem dogasło i Malajowie pomilkli.

Siedzieliśmy wśród ciszy, wpatrzeni w czarne gąszcze, na których tle migwały tu i owdzie niebieskie iskierki. Były to sprężyki, które w noc świecą w amerykańskich lasach, niby nasze robaczki świętojańskie.

Chwilami z dalekiego jeziora, wodną sałatą pokrytego, odzywało się rechotanie wielkich ropuch.

Zasłuchałem się w te echa miarowe i zapatrzyłem się w migocące pod czarnym lasem gwiazdki robaczków. I naraz wydało mi się, że mnie jakaś siła cudowna przeniosła na drugi kraniec świata, aż za Wisłę, za Bug, do ziemi łomżyńskiej pod gaje brzoźowe i widziałem się chłopięciem wiejskim w ukochanej Bo-

rówce. Te robaczki świecące, i te żaby, i ten wilgotny chłód nocy po dniu upalnym,—wszystko to tak mi przypomniało polskie strony, że mi się bezwiednie łzy zakręciły w oczach... Biegłem tam myślą daleko za morza do porzuconej zagrody ojczystej; i tu znowu bliżej, poza szczyty Andów, poza lasy brazylijskie, do matki, do ojca, do najdroższej siostrzyczki...

A naraz zaczęło mi się w myślach mącić. Stawały przede mną szeregi wulkanów Nowej Zelandji, potwornem błotem ziejących, obok gajzerów, tryskających słupami wrzącej wody. U ich stóp chodzili tatuowani Maori o brunatnej skórze, płacząc nad tem, że coraz więcej obcych przybyszów wypiera ich z siedzib ojczystych.

Dokoła szumiały bałwany oceanów, a nad nimi piętrzyły się jakieś dzikie góry niedostępne, z których zrywały się białe orły i uciekały hen za morza...

Srebrnopióre ptaki wzbijały się coraz wyżej, ulatywały coraz dalej, ginęły mi z oczu, a mnie jakiś wielki żal ogarniał, że nie mogę ucześcić się skrzydeł białego latawca, by z nim przepłynąć wśród chmur na drugą stronę oceanu.

Wyciągnąłem ręce, widząc, że do lotu się zrywa już z orłów ostatni. Krzyknąłem, chcąc białego ptaka zatrzymać i ubłagać, by mnie

zabrał z sobą za morze, lecz w tej chwili coś mnie do ziemi ściągnęło z powrotem.

Otwarłem oczy. Byłem w ramionach pana Stefana, który mnie powstrzymał w chwili, gdy miałem zsunąć się ze wzgórza, na którym siedzieliśmy przed namiotem.

— Zdrzemnąłeś się, chłopcze — mówił do mnie — już ci się nawet coś śniło. Szeptaleś coś półgłosem o górze Kościuszki i o białych orłach..

Jak nieprzytomny patrzyłem przed siebie wśród ciemności, którą naraz rozdarł blask światła z odnowionego przez Tahitiego ogniska.

Pan Skierski wciągnął mnie pod namiot na posłanie, zamknięte zewsząd zasłonami przed plagą komarów, lecz nim zasnąłem, rozmyślałem jeszcze chwilę nad słowami, których nigdy przedtem nie mogłem tak dobrze jak teraz zrozumieć, dopóki tylko na pamięć uczyłem się wstępu do «Pana Tadeusza»:

...«Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!  
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,  
Kto cię stracił...»

V.

Biurko na kolanie.—Brak czasu.—Wypychanie ptaków pod równikiem.— Polscy przyrodnicy u stóp Andów.— Dziwy Palmalu w Warszawie.

Wyobrażałem sobie, że to nie będzie nic trudnego dzień po dniu spisywać pamiętnik, prowadzić niejako dziennik podróży. Tymczasem widzę, że to sprawa niełatwa.

Przedewszystkiem mieszkamy często tylko pod namiotem, a zresztą i wtedy, gdy się nam trafi nocleg lub dłuższe mieszkanie w jakiejś przydrożnej osadzie ludzkiej, to i tam również trudno o stół i krzesło do pisania; więc jeżeli do tego dzienniczka powracam, to go piszę na kolanie, pod gołym niebem, siedząc na jakim kamieniu lub kłodzie powalonego drzewa.

Ostatecznie nauczyłem się już oddawna pisywać w razie potrzeby w taki sposób, więc nie stanowiłoby to przeszkody, gdyby nie brak czasu.

Pisać nie można, gdy, jak najczęściej, jesteśmy w drodze, bo podróż odbywa się zwykle wierzchem na mułach. Na postoju zaś, o ile nie polowanie, to wszystek czas zabiera podpatrywanie ptaków, zwierząt lub wogóle badanie miejscowej przyrody. Wreszcie, gdzie zatrzymujemy się dłużej, odbywa się konser-

wowanie zdobytych okazów fauny podrównikowej. To trzeba utrwalić w spirytusie jakąś niezwykle zdobycz dla użytku zbiorów naukowych, to znowu w tym celu wypchać ptaka, lub jakieś inne zwierzątko.

Nabrałem już tyle znajomości i wprawy, że z prawdziwym zadowoleniem widzę, iż od pewnego czasu stałem się nietylko uczniem, ale naprawdę i pomocnikiem pana Stefana. A przecież na to z nim jeżdżę i za to zarabiam.

Od biedy jużbym dziś potrafił samodzielnie wypchać ptaszka, nie zmieniając niezręczną robotą kształtów, jakie miał za życia.

Ale dotychczas nie mogę się jeszcze pochwalić ani jednym okazem własnej roboty. A nużbym co popsuł. Tymczasem zbyt ceną bywa zdobycz nasza, by można na to ją narażać.

Nieraz dzień cały trzeba ślęczyć na jednym miejscu, żeby jakieś stworzenie dostać żywcem, a choćby je zastrzelić.

Wówczas pan Stefan aż się trzęsie nad tem, byle tylko dało się okaz w niczem nieuszkodzony utrwalić i od zepsucia zabezpieczywszy, odesłać potem na miejsce przeznaczenia.

Więc ja mu tylko pomagam w jego delikatnej robocie, zwłaszcza wtedy, gdy istotnie nie mógłby sobie sam poradzić bez usług drugiej osoby.

Ale zato ileż razy się trafi, że ptak, nad którego zdobyciem namęczyliśmy się przez długie godziny, okaże nam się wcale niepotrzebny.

Profesor obejrzy go dokładnie, zajrzy do swoich notatników i powiada, żartując po swojemu, żeśmy Ameryki nie odkryli.

Okazuje się bowiem, że zrazu zdawało się, jakobyśmy mieli do czynienia z gatunkiem jeszcze nieznanym przyrodnikom; tymczasem takiego samego ptaka posiada już niejedno muzeum, dzięki uczonym podróżnikom, którzy nas już dawno wyprzedzili w tych stronach, a zwłaszcza dzięki polskim przyrodnikom, którzy pod tym względem przed wielu laty dokładnie zbadali, obce jeszcze wtedy dla nauki, przestrzenie Peru i Ekwadoru.

Między tymi wymienia mi pan Stefan najczęściej nazwiska Konstantego Jelskiego i Jana Sztolcmana z Warszawy, których zmuśnej pracy, poświęceniu dla nauki i sumiennym opisom zawdzięcza mój profesor odpowiednie przygotowanie do swej zamorskiej podróży.

Ja sam pamiętam mnóstwo wspaniałych okazów fauny międzyzwrotnikowej, jakie mi niegdyś pan Skierski pokazywał i objaśniał w Gabinecie Zoologicznym przy Uniwersytecie Warszawskim, a które tam wszystkie właśnie pan Sztolcman ofiarował, jako zdobycze swych podróży po Południowej Ameryce.

## VI.

Plaga moskitów i komarów.—Co lepsze?

Znowu zaniedbałem się w pisaniu. Ale ostatnimi czasy tak mnie zmordowały moskity i komary, że bywałem niezdolnym nawet do obowiązkowych robót pomocniczych u boku profesora.

Gdyby nie namiot perkalowy, szczerze nas osłaniający na noc, komary zjadłyby nas śpiących.

W dzień zato niema sposobu obronienia się przed natrętnością niesłychanej masy małych owadów dwuskrzydłych, które tu Hiszpanie nazywają moskitami lub rodadorami, my zaś po polsku zwiemy je meszką.

Zapuszczają one swój jadowity ryjek w ciało nasze, na którym zrazu tworzy się białawy bąbel z kroplą krwi pośrodku, poczem na długo zostaje czarna plamka.

Nicby to nie było strasznego, ponieważ świerzb po meszce nie trwa zbyt długo. Lecz kto sobie wyobrazi tę wieczną plagę w tutajszym klimacie, gdzie przez cały dzień powietrze przepelnione jest miliardem meszek, ten zrozumie, w jakim stanie znajduje się człowiek, gdy ten świerzb, ciągle odnawiany, nigdy nie ustaje.

Nie wiem, co lepsze, czy ten dzienny moskit, czy tamten nocny komar.

W każdym razie, spędzić całe życie w kraju, w którym niema ucieczki przed temi dwiema plagami, musiałoby być czemś strasznym.

Mój Boże, jak ja czasem, patrząc na wszelkie dziwy, jakie tu pod równikiem spotykać mogę, wzdycham przecież z utęsknieniem do dalekiej ojczyzny...

## VII.

W domku na palach.—Kaczka na pniu.— Nielatwo być profesorem.—Ptak-zegar.—Gniazdo w brodzie.

Wypoczywaliśmy dziś cały dzień z powodu niedzieli.

Mieszkamy chwilowo (dla przygotowania wysyłki zdobytych okazów do najbliższego miasta na tymczasowe przechowanie) nie w namiocie, lecz pod dachem.

Malajowie wyszukali nam takie schronisko przed wielkimi ulewami, żeby nam cenne rzeczy nie zamokły.

Jest to dom na palach w lesie trochę wykarczowanym. Jużemy się nieraz w takiej chacie zatrzymywali w drodze.

Na kilku słupkach mieści się podłoga z tarcic bambusowych, na wysokości jakiegoś me-

tra od ziemi. Nad tem zaś, czasem tylko na słupkach, a czasem na ściankach, również z bambusu, ułożony jest dach, czyli raczej strzechy z liści palmowych.

Tym razem mamy zbytek nielada, ponieważ chata ma z trzech stron ściany, poza które chronimy się z naszymi robotami w czasie ulewy.

Polowaliśmy wczoraj na kaczki drzewne, których znajduje się tu niezwykle mnóstwo nad jeziorami doliny zarumillańskiej. Wprawdzie podobnie jak kurka wodna, zwana tu galaretą, która łązi po salacie pokrywającej jeziora, trzyma się owa kaczka na wodzie, często jednak widzi się ją siedzącą na suchych pniach nad wodami i stąd poszła jej nazwa.

Na takich pniach siedzi tam pełno ptaków, których długa szyja przypomina węża i które nawet nazywają się wężówkami.

Bardzo ładnie odbijają od gąszczów zielonych nad jeziorem białe czaple.

Wogóle poznałem tu tyle gatunków rozmaitego ptactwa, że mi się w głowie mąci od ich nazw i różnic, po jakich poznają je przyrodnicy. Zdumiewa mnie doprawdy, ile taki ornitolog, jak pan Skierski, musi spamiętać wiadomości ze swej umiłowanej nauki, by się mózgiem podzielić nią z innymi.

On dla każdego ptaszka ma gotową nazwę, on każdego z nich rozezna po zwyczajach lub

po głosie, mimo, że sam przecież pierwszy raz stąpa po lasach ekwadorskich.

Słyszymy czyjeś odzywianie się głosem donośnym a już pan Stefan powiada, że to garnarcz. Odezwie się z wieczora coś żałośnie, mniejwięcej jakby «kakau»; a już pan Skierski nie ma wątpliwości, że to jeden z drapieżników amerykańskich, nazywany tu raldiwią.

Przypatrujemy się na drzewie szaro-brunatnemu ptakowi, rozmiarów sójki, z czarną plamką na piersi i z czapczką czarno-niebieską na głowie. Jego ogon porusza się miarowo w sekundowych odstępach na prawo i na lewo, przypominając zarówno tym ruchem, jak wyglądem sterówek—wahadło zegarowe.

— To momot — orzeka profesor na ten widok, a Fidżinos z uśmiechem dodaje:

— To zegarmistrz.

Istotnie, tak w krajach tutejszych ludność go nazywa.

Bawi mnie tutaj często ogromna śmiałość ptaka, którego nigdy nie płoszą nasze strzały w pobliżu. Jest to kassyk kalembó. Czarny z białym dziobem, ma ramiona i nasadę ogona żółte i śliczne oczka błękitne. Mieszka w workowatych gniazdach z brody Absalona, zwieszającej się z bombaksów.

Całe stado, złożone z kilkudziesięciu ptaków, osiedla się na jednym z takich wielkich drzew, które niezmiernie ożywia swoją świe-

tną barwą i ciągłą ruchliwością. Gdy się z nich który odezwie, to jakby się słyszało głos fletu.

Ludzie, u których dziś mieszkamy, opowiadają nam, że w Ekwadorze trzymają kalembo oswojonego, bo cała rodzina ma z niego zabawkę. Cóż, kiedy niezmiernie trudno wydobyc młode z gniazda, które się mieści na końcach najcieńszych gałęzi rozłożystego bombaksu.

To też wyprawa moich towarzyszków lat dziecińczych w Borówce po srokę lub szpaka.

---

### VIII.

Raj Palmalu. Latające kwiaty.—Roślina-wąż.—Bambusy w powojach.—Cuda w przyrodzie, a na rycinie

Pan Stefan powtarza, że w raj, o jakim Biblia opowiada, nie musiało być piękniej, niżli w okolicach, przez które powoli posuwamy się w naszej podróży.

To też, pisząc wczoraj do rodziców do Brazylii, zacząłem list od słów: «Idę przez raj pod obcym niebem, a w sercu, stęsknionem do swoich, czuję coraz silniejszą nadzieję, że mnie ta droga zawiedzie do ojczystey ziemi, na której źle nam wszystkim było, kochani rodzice, dopóki piekło cudzych krajów, popa-

rzywszy stopy tułaczom, nie nauczyło jej miłować».

Ach, to piekło brazylijskie! do końca życia pamiętać będę, ile się tam nacierpieli moi biedni rodzice; ile namęczyliśmy się tam wszyscy, pragnąc szczęście znaleźć w owym zachwalanym cudzym świecie.

Tutaj raj — ale tylko dla oka.

Nie nam tu żyć, nie nam tu mieszkać, do innego klimatu stworzonym, do innej ziemi przyzwyczajonym od dziadów, pradziadów.

Zobaczyć jednak raz w życiu taki istny raj na ziemi — to, bądź co bądź, rzecz godna zażdrości, pomimo tylu plag, jakie się jedna po drugiej walą na nieprzywykłych do równikowego klimatu podróżników.

Dziwny kraj, przez który się przeprawiamy, przy ciągłej pomocy naszych nieocenionych Nowozelandczyków, nosi dźwięczną nazwę: Palmal.

Hiszpanie mają zwyczaj dodawaniem końcówki «al» do nazwy jakiej rośliny tworzyć wyraz na oznaczenie miejsca, gdzie ona porasta. Podobnie, jak mybyśmy kawałek ziemi, pod uprawę szparagów obrany, nazwali szparagarnią, lub pole kartoflami obsadzone, nazwali kartofliskiem, tak Hiszpan od wyrazu «platano», co znaczy banan, z dodatkiem owej końcówki robi «platanal» na oznaczenie bananiarni.

W ten sposób kraj, palmą porosły, Hiszpan ochrzci imieniem «palma».

Tutaj nazwą «Palma» określają lasy ekwadorskie, położone najbliżej granicy peruwjańskiej.

Właśnie przez te puszcze dziewicze, między górną Amazonką a równikiem, przedzieramy się od pewnego czasu, utykając w drodze często, by się w jakiej ludzkiej osadzie schronić trochę przed ulewą i ocalić nasze zdobycze od zniszczenia.

Od paru dni mieszkamy u czakrera, to znaczy właściciela czakry, czyli małej plantacji. Jest to Peruwjańczyk, który, zakupiwszy w Ekwadorze pod uprawę bananów kilka morgów ziemi leśnej, przybywa co rok, na czas siejby lub zbioru, do Palmy z całą rodziną i w tym celu posiada tutaj spory szalás bambusowy na palach, wprawdzie bez ścian, ale zato z nieprzemakalnie urządzonej strzechą z liści palmowych.

Siedzę w tej chwili właśnie w owej chacie kolonisty i zamiast krzesła, mam pod sobą małą skrzynkę, a przed sobą większą, zamiast stołu do pisania, który zresztą służy nam i za jadalnię i za pracownię.

U stóp naszej siedziby wiedzie błotnista droga, nad którą w jaskrawych promieniach zwrotnikowego słońca unoszą się olbrzymie motyle błękitne, lub przelatują zwawiej od nich bajecznie kolorowe ptaki, a jedno i dru-

gie sprawiają wrażenie, że to cudne kwiaty o przepysznych barwach latają tu i tam na tle zieleni.

Poza mną na tyłach szalásu, rozciąga się wielka bananiarnia. A przede mną — puszcza zielona.

Gdzie spojrzę, dźwigają swe pyszne korony drzewa wyniosłe, okryte gęstymi zwojami ljan i powojów.

Te ljan podzwrotnikowe to się wiją jak wąż dokoła pni, to znów biegną prostą linią od ziemi ku górze, niby liny. Czasem drzewa pod takimi zwojami przypominają słupy, które ręka ludzka zręcznie przybrała w bogate girlandy.

Ale gdy się bliżej przystąpi do tego gąszczy, jaki sznur ljan, płacząc się z sobą, wytwarzają, zapomina się o tym wyglądzie pięknym, a zato staje się bezradnie, bo się widzi, że nie sposób kroku wprzód zrobić poza tę gmatwaninę, z której właśnie składa się puszcza zwrotnikowa.

Z naszego szalásu przyglądam się w tej chwili z jednej strony ogromnej ścianie zielonej, utworzonej przez powoje, a za którą kryje się las wilgotny i gorący; z drugiej zaś strumieniowi, szumiącemu po żwirze.

Z jednego brzegu na drugi przerzucają się nad wodą wspaniałymi łukami wyniosłe trzciny bambusów kolczastych z drobnym liściem

pierzastym. I tu każdą łodygę węzłową otaczają cienkie pełne liście zwoje powojów, gdzieśgdzie urozmaiconych wielkim kwiatem fioletowym.

Z nad gęstwy bambusowej strzelają w górę pnie palm, strojne w pęki pierzastych liści, a nad krajobrazem wysokich drzew ciemnozielonych płyną lekko białe obłoczki po cudnym błękitnie nieba.

Kiedy spoglądam na te obrazy, oblane żywym światłem równikowego słońca, a zięjące gorącą, duszną wilgocią palmowych lasów, to mi się przypomina, że o tym czarodziejskim przepychu przyrody miałem dotychczas zawsze tylko fałszywe wyobrażenie, znając dziewicze puszcze zwrotnikowych lasów albo z bezdusznych rycin, albo w najlepszym razie z nędznych okazów egzotycznych roślin po cieplarniach.

To trzeba widzieć na miejscu w całej okazałości, żeby mieć pojęcie o cudach flory, na jakie patrzę tu w Palmalu.

### IX.

Las nad lasem. — Wiszące ogrody. — Epifity. — Korzenie powietrzne. — Przeworność storczyków. — Udużone drzewo. — Osobliwy koszyk.

Wszyscy zwykle przedstawiają sobie lasy podzwrotnikowe pełne różnobarwnych kwia-

tów. Tymczasem to tylko niektóre puszcze pod równikiem usprawiedliwiają to mniemanie, gdyż po największej części panuje w tych odwiecznych, dziewiczych lasach jednostajność zieleni.

Podróżnik całymi dniami może w nich nie napotkać ani kwiatka na swej drodze.

Nie zdziwi to tylko tych, którzy wiedzą, że tutaj ponad lasem, przez który człowiek się przedziera z trudem, wycinając gąszcze na swej drodze, wznosi się drugi las — i to las samych już kwiatów, które umieściły się na gałęziach drzew, na ich koronach.

Ten las kwiatów ponad lasem drzew tworzą rośliny o najpyszniejszych barwach. Należą one do rozmaitych rodzajów, a żyją tam w górze w najlepszej zgodzie.

Przyrodnik dzieli je wszystkie na dwie grupy, stosownie do sposobu ich życia.

Dziś właśnie pouczał mnie w tej sprawie dokładnie pan Skierski i dowiedziałem się niesłychanie ciekawych rzeczy, sprawdzając wszystko na żywych przykładach w przyrodzie.

Sam już rozróżnić potrafię rośliny, należące do tych dwu grup głównych, z których jedne nazywają się epifity, a drugie endofity.

Te ostatnie są bardzo szkodliwe dla roślin, noszących je na sobie, gdyż są pasorzytami w całym znaczeniu tego słowa, a więc ciągną pokarm z gościnnych swych gospodarzy. Epi-



fity wydają się też napozór roślinami pasorzytnymi, lecz pobierają one pokarm z powietrza lub tylko z martwych części roślinnych, albo też wypuszczają długie korzenie powietrzne, które dążą aż do ziemi i stąd czerpią potrzebne żywotne soki.

Potrzeba światła i słońca pędzi epifity w górne sfery, ponieważ pod liściastym dachem dziewiczego lasu panuje często taki mrok, że nie dopuszcza do rozwoju żadnych roślin. Dlatego to właśnie tak się pną owe rośliny na coraz wyższe gałęzie, dopóki te mogą unieść ich ciężar, ale nie przynoszą swoim podporom szkody, jak właściwe pasorzyty.

Burze podzwrotnikowe bywają straszne, więc przyroda zabezpieczyła epifity przed tem, by przy pierwszej sposobności nie znalazły się w strzępach na ziemi. Oto przytwierdzają się one do konara mnóstwem korzeni czepnych tak silnie, że trzeba nieraz dużej siły, by je oderwać, gdyż owijają się dokoła pni i gałęzi w ten sposób, jakby kto opasał konar zwojami drutu. Wpijają się też w nierówności kory i tak spoiście przylegają do drzewa, że nie sposób odróżnić w tej pozornej całości, co należy do drzewa-gospodarza, a co do jego lokatora.

Oprócz korzeni czepnych, wypuszcza taka roślina mnóstwo białych, soczystych korzeni powietrznych, bardzo giętkich, które, ciągnąc

się naksztalt nici, zwieszają się po gałęziach i tworzą znowu drugi rodzaj przytrzymywaczy. Gdy są już długie i obfite, zbijają się w niemożliwą do rozplątania gmatwaninę, która, związując z drzew, niby długie brody, zakrywa ich korony dla patrzącego z dołu.

Ponieważ na tak znacznej wysokości, pod stałym wpływem słońca, gorąco jest tam większe, aniżeli bliżej ziemi i parowanie wzmaga się też w wysokim stopniu, przeto owa roślinność górna posiada jeszcze liczne korzenie gąbczaste, które napawają się nocną rosą, lub wodą deszczową i tak chronią roślinę od wyschnięcia w czasie spieki.

— Pamiętajsz— objaśniał mnie pan Stefan— że storczyki, rosnące na ziemi, mają zawsze dwie grube cebulki. Jedna z nich ma za zadanie żywić roślinę podczas wzrostu, gdy druga przechowuje zapas pokarmu na rok przyszły. Tak samo ma się rzecz i z temi napowietrznymi storczykami, których tysiące w różnych gatunkach kwitną precudnie tam, wysoko, na dachu podzwrotnikowej puszczy. Żywią się one zapasami, ukrytymi w jasnozielonych kulkach, zwanych bulwami. Może się jednakowoż zdarzyć, że nie wystarczy roślinie do pełnego wzrostu żywność zawarta w bulwie. W takim wypadku łączy się tu przyjemne z pożytecznym: oto roślina zostaje na słońcu, ale wypuszcza długie korzenie aż do

samej ziemi, skąd czerpie potrzebne pożywienie.

Pokazał mi profesor właśnie takie korzenie storczyków, które musiały z tamtego wyższego piętra lasu spuścić na ziemię rureczki i przez nie sprowadzają sobie potrzebne im stąd środki do swoich mieszkań na wysokości kilkudziesięciu metrów.

Obserwowaliśmy w pewnym miejscu naszej puszczy jedną z roślin, należących do epifitów, która wypuszcza korzenie także ze wszystkich swoich gałęzi. Przez to mnoży się tych korzeni tyle, że jedna roślina rozrasta się często niby cały las.

W takim wypadku ginie zazwyczaj drzewo, które służyło za podłoże napowietrznej roślinie, gdyż uściski nieprzeliczonych korzeni duszą je tysiącem ramion i okrywając gęstym dachem listowia, zabierają mu wszystko światło i powietrze, aż wreszcie sprowadzają zgnębę swego dobrodzieja.

Wskutek szybkiego wzrastania i przemijania roślin w lasach podzwrotnikowych — mówił mi pan Skierski — znajduje się tu mnóstwo zmartwych ciał roślinnych. Są one niezmiernie pożyteczne, bo tworzą rodzaj żyznej gleby, czyli tak zwany humus. Tworzy się on nie tylko na ziemi, lecz także na gałęziach i wogóle wszędzie tam, gdzie jakaś cząstka rośliny zamiera. Deszcz splukuje to i strąca

na ziemię, jak tu nieraz widziałeś. Otóż wyobraź sobie, że zadaniem niektórych storczyków napowietrznych jest skorzystać z tych darów jak najwięcej. W tym celu wysyłają one szereg silnych korzeni, które zrastają się z sobą, tworząc różnej wielkości oczka. Przypatrz się temu, co tu wisi.

Spojrzałem we wskazanym mi kierunku i ujrzałem wysoko pod drzewami zawieszony w powietrzu koszyk. Były to właśnie owe korzenie storczyka, które, pozrastawszy się z sobą, utworzyły coś w rodzaju kosza.

— Widzisz zatem, jak mocno zrobiony jest ten kosz — mówił pan Stefan. — Musi on być wytrzymałym, ponieważ ma za zadanie przyjmować w siebie humus. Gdybyśmy się tam mogli dostać, znalazłbyś we wnętrzu kosza nawet całe roślinki obce, lub części większych, znalazłbyś kawałki drzewa, gałązki, liście i korę. Wilgoć i napływające ciągle nowe materje wciskają niższe warstwy coraz mocniej w tę plecionkę, przeobrażanie się szczątków roślinnych w humus postępuje znacznie szybciej i dopiero w ten wytwór żyznej gleby wysoko nad ziemią zagłębiają się życionośne korzenie storczyka, by czerpać potrzebne soki i roznosić je po całym organizmie rośliny.

Kiedy słuchałem wszystkich takich objaśnień z ust mojego profesora i kiedy na miejscu przypatrywałem się temu wszystkiemu

samej ziemi, skąd czerpie potrzebne pożywienie.

Pokazał mi profesor właśnie takie korzenie storczyków, które musiały z tamtego wyższego piętra lasu spuścić na ziemię rureczki i przez nie sprowadzają sobie potrzebne im stąd środki do swoich mieszkań na wysokości kilkudziesięciu metrów.

Obserwowaliśmy w pewnym miejscu naszej puszczy jedną z roślin, należących do epifitów, która wypuszcza korzenie także ze wszystkich swoich gałęzi. Przez to mnoży się tych korzeni tyle, że jedna roślina rozrasta się często niby cały las.

W takim wypadku ginie zazwyczaj drzewo, które służyło za podłoże napowietrznej roślinie, gdyż uściski nieprzeliczonych korzeni duszą je tysiącem ramion i okrywając gęstym dachem listowia, zabierają mu wszystko światło i powietrze, aż wreszcie sprowadzają zgubę swego dobrodzieja.

Wskutek szybkiego wzrastania i przemijania roślin w lasach podzwrotnikowych — mówił mi pan Skierski — znajduje się tu mnóstwo zmartwiałych ciał roślinnych. Są one niezmiernie pożyteczne, bo tworzą rodzaj żyznej gleby, czyli tak zwany humus. Tworzy się on nie tylko na ziemi, lecz także na gałęziach i wogóle wszędzie tam, gdzie jakaś cząstka rośliny zamiera. Deszcz splukuje to i strąca

na ziemię, jak tu nieraz widziałeś. Otóż wyobraź sobie, że zadaniem niektórych storczyków napowietrznych jest skorzystać z tych darów jak najwięcej. W tym celu wysyłają one szereg silnych korzeni, które zrastają się z sobą, tworząc różnej wielkości oczka. Przypatrz się temu, co tu wisi.

Spojrzałem we wskazanym mi kierunku i ujrzałem wysoko pod drzewami zawieszony w powietrzu koszyk. Były to właśnie owe korzenie storczyka, które, pozrastawszy się z sobą, utworzyły coś w rodzaju kosza.

— Widzisz zatem, jak mocno zrobiony jest ten kosz — mówił pan Stefan. — Musi on być wytrzymałym, ponieważ ma za zadanie przyjmować w siebie humus. Gdybyśmy się tam mogli dostać, znalazłbyś we wnętrzu kosza nawet całe roślinki obce, lub części większych, znalazłbyś kawałki drzewa, gałązki, liście i korę. Wilgoć i napływające ciągle nowe materje wciskają niższe warstwy coraz mocniej w tę plecionkę, przeobrażanie się szczątków roślinnych w humus postępuje znacznie szybciej i dopiero w ten wytwór żyznej gleby wysoko nad ziemią zagłębiają się życionośne korzenie storczyka, by czerpać potrzebne soki i roznosić je po całym organizmie rośliny.

Kiedy słuchałem wszystkich takich objaśnień z ust mojego profesora i kiedy na miejscu przypatrywałem się temu wszystkiemu

w lasach Palmalu, myśl moja, pełna podziwu, nie mogła doprawdy objąć ogromu tych cudownych urządzeń w przyrodzie; słów mi brakło na wypowiedzenie tego co czułem — i tylko w milczeniu ze czcią chyliłem kornie czoło przed wielkością i mądrością Stwórcy wszechświata.

X.

Ptaki w mrowiskach.—Wyprawa po papużki.—Wypchany Piotruś.—Moje pierwsze dzieło.—Ekwadorscy strzelcy i handlarze piór.—Ofiary dla nauki i—dla mody.

Deszcz leje, jak gdyby wszystkie chmury oberwały się nad nami. Dobrze, żeśmy znaleźli schronienie na kilka dni na kolonji, posiadającej domek na palach, nietylko dachem kryty, lecz jeszcze i ściankami bambusowemi osłonięty.

Pan Stefan spisuje swoje notatki naukowe, ja zaś wracam do mego pamiętnika, do którego od kilku dni zasiąść nie mogłem dla braku czasu.

Teraz roboty było ciągle dużo z wypychaniem ptaszków i przygotowywaniem pak do wysyłki z gotowemi okazami w bezpieczne i suche miejsce.

Zresztą ciągle odbywaliśmy polowania.

Wczoraj spotkaliśmy gromadkę Ekwadorczyków na osobliwej wyprawie. Wyszukują w Palmalu miejsc, gdzie gnieźdzą się kolonie

papużki gwajakwilskiej. A gnieźdzą się one — niktby nie uwierzył — w gniazdach termitów.

Białe te mrówki gorącej strefy budują sobie na dwa metry wysokie kopce, mające w obwodzie aż do dwudziestu metrów. Żyją drzewem, roślinami różnego rodzaju i niszczą, gdzie się da, drewniane budowle i sprzęty.

Otóż w gniazdach tych termitów osiedlają się całe kolonie papużek, które stamtąd wybierają krajowcy i sprzedają przeważnie do Gwajakwilu, a także i do innych krajów tutejszych, gdzie wszędzie trzymają tego ptaka chętnie po domach.

Łatwo je wyuczyć wymawiania różnych wyrazów i naśladowania cudzych głosów. Każdy z tych zielonych ptaszków umie wymawiać «perrikwito», co jest zdrobniałą nazwą hiszpańskiego imienia Pedro, czyli po prostu Piotruś.

Jest to zatem imię własne każdej z tych papużek, chowanej w domu, a krajowcy tutejsi, mówiąc wogóle o małej papudze, zawsze powiadają «perrikwito», w przeciwieństwie do większej, zwanej «lora».

Mam wielką sympatię do tych papużek, ponieważ pierwszy ptaszek, jakiego samodzielnie wypchałem w tych dniach, był to właśnie prześliczny zielony Piotruś, przeze mnie upolowany.

Wczoraj zrobiłem skrzyneczkę, do której to pierwsze moje dzieło w charakterze konserwatora ptaków, zapakowałem, a dziś ją za-

brali owi ludzie, których spotkaliśmy nad kopcami termitów. Jeden z nich podjął się za nagrodą pieniężną wysłać z miasta, do którego za parę dni przybędzie, paczkę przez pocztę do Buenos-Aires pod adresem mojej matki.

W dziobku Piotrusia znajduje się karteczka, na której napisałem:

«Ukochanej Halince stęskniony brat posyła swoją pierwszą robotę».

Ach, co tam będzie za radość!

Oby tylko doszła szczęśliwie posyłka do rąk mojej siostrzyczki. Pan Stefan powiada, że niema obawy, by ci obcy nam ludzie mieli się zląkomić na zawartość paczki i przywłaszczyc ją sobie, zamiast oddać na pocztę, ponieważ sami mieli pod dostatkiem równie pięknych a żywych okazów tego samego gatunku ptaka.

W gromadce tych Ekwadorczyków było też paru strzelców, którzy zawodowo trudnią się polowaniem na rozmaite gatunki świetnie upierzonych ptaków Palmalu. Doszli do takiej wprawy, że prawie zawsze potrafią ptaka zabić w ten sposób, by o ile możności nie uszkodzić owych barwnych piór, któremi następnie w miastach handlują.

Nieraz pamiętam na ulicach Warszawy, na bogato strojnych kapeluszach, uderzały mnie niezwykle piękne pióra. Kiedy raz kogoś zapytałem, skąd w naszym kraju bierze się tak

wspaniałe pióra, odpowiedziano mi, że tańsze pochodzą z miejscowego ptactwa, a tylko fabrykanci farbują je pysznie w miarę potrzeby. Zato droższe sprowadza się aż z krajów zamorskich.

Czyż mogłem wtenczas przypuścić, że w kilka lat później znajdę się sam w takim rajskim ogrodzie, po którym latają żywe kwiaty o wszystkich kolorach tęczy — i że sam spotykać będę ludzi, którzy te ptaszki precudne mordują masami dla kaprysów mody.

Rozumiem, że dla nauki trzeba dużo takich niewinnych istot skrzydlatych uśmiercać, by nimi później napełniać muzea przyrodnicze. Wszak tylko tam mogą je poznawać ci, którzy nigdy w życiu nie odbędą podróży do zamorskiej ojczyzny kólibra, czy muchołówki królewskiej.

Ale gdyby nawet najwięcej przyrodników podróżowało w takich celach po lasach podzwrotnikowych, to jednak, jak dobrze powiada pan Skierski, nie wytępiliby jeszcze w tysiącznej części takiego mnóstwa ptaków, jakie giną z rąk strzelców dla zaspokojenia olbrzymich potrzeb handlu ozdobami kapeluszy kobiecych.

Czyż sztuczny kwiat nie mógłby zastąpić kolorowego skrzydła lub ogona zamorskiego ptaszka?

---

XI.

Palmy kokosowe.—Jak małpa zrywa orzechy dla ludzi.—  
Co można zrobić palcem u nogi.—Użytek z kokosów.—  
Pływające owoce.—Westchnienie ku ojczyźnie.

Oglądałem dziś plantacje orzechów kokosowych.

Co to za pożyteczna palma, która rodzi tak duże owoce i tak niezwykle cenne!

Niedojrzały owoc zawiera w sobie ciecz przejrzystą prawie jak woda, o miłym smaku słodko-kwaskowatym. W miarę dojrzewania orzecha mleczo twardnieje tuż pod skorupą i tworzy się bielmo, czyli tkanka żywiąca, wypełniona wewnątrz resztką płynu, która stanowi pożywienie dla zarodkowego liścienia.

Bardzo zajmujące jest kielkowanie orzecha kokosowego — jak się z pomocą mojego profesora dowiedziałem dziś w plantacji.

Zarodek rozrasta się najpierw w mleczo, które żywi go jednocześnie. Gdy mleczo zostało zużyte, a listek zarodkowy rozrósł się i napęczniał tak dalece, że dosięgnął już bielma, wtedy bielmo to staje się żywicielem zarodka.

Skoro całe wnętrze orzecha zostało już wypełnione przez liścień, wypuszcza on kieltek, który wchodzi w kielkowy otwór skorupy.

Tu zaczyna się najtrudniejsze zadanie wychodzącego kielka; musi on bowiem przebić warstwę włókna, miękką wprawdzie, ale nader mocną; to też upływają całe miesiące, zanim dokona tej zmuśnej pracy.

Od tej chwili liścień zaczyna rosnąć dalej i przekształca się powoli w palmę. Za lat cztery do sześciu zdolną jest palma do wydawania kwiatów i owoców. W dwudziestym piątym roku osiąga drzewo najwyższy rozwój i ta pełnia sił trwa do lat pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu; są jednak palmy, które żyją lat sto lub więcej.

Dojrzałe orzechy albo same spadają z drzewa, albo się je zrywa przy pomocy małp, ułożonych do tego umyślnie.

Poprzedni dyrektor plantacji kokosowych, które dziś oglądałem, był zdania, że zbyt długie pozostawanie owoców na drzewach, to jest gdy orzechy same opadają, bardzo palmy wysila i dlatego używał małp do zrywania owoców z chwilą, gdy tylko dojrzały.

Obecny dyrektor, z którym pan Skierski długo dziś rozmawiał, jest tamtemu pogłodo wi przeciwny, twierdząc, że zrywanie przynosi więcej szkody palmom i z tego powodu każe czekać, aż orzech dojrzały sam z drzewa spadnie.

Kiedyśmy jednak dopytywali się szczegółowo o wszystko i wyrazili żal, że nie może-

my zobaczyć, jak się to robiło, by z tak wysokich drzew, jak palmy kokosowe, zrywać orzechy, dyrektor zatrzymał nas, a za chwilę staliśmy się świadkami osobliwego widowiska.

Kilku krajowców, zatrudnionych w plantacjach, stanęło u stóp palm. Jednocześnie pod kilkoma palmami naprzeciwko stanęły trzy małpy. Robotnicy, opasawszy pień palmy i siebie ljanami (co nam dało dowód, jak mocne są te rośliny, pnące się po tutejszych lasach), poopierali duże palce nóg o blizny drzewa pozostałe po liściach i zaczęli podnosić się w górę.

Małpy naprzeciwko robiły to samo.

Robotnik posuwa wyżej pętlę, łączącą go z pniem, zaczepia palce o następne blizny i wznosi się dalej, dopóki tym sposobem nie wydostanie się na sam szczyt palmy—w czem naturalnie naśladują go małpy, które następnie za jego przykładem zrywają duże, wielkości głowy dziecięcej, orzechy i zrzucają na dół.

Gdybym to opowiedział u nas w Borówce, ten i ów wyobrażałby sobie, że to niewielka sztuka.

— Jakbym się takim mocnym lykiem opasał i do drzewa przywiązał, tobym się i wdrapał — mruknałby Bartek i Wojtek.

A tymczasem jabym się założył, że nasz chłop nigdyby tej sztuki nie dokazał, ponieważ to rzecz łatwa jedynie dla małpy, lub dla

krajowca w ziemiach, palmy rodzących. Trzeba bowiem mieć wyrobioną siłę w wielkich palcach u nóg, by się w ten sposób dostać na wysokość około ośmdziesięciu stóp. Europejczykowi rychłoby nogi odmówiły posłuszeństwa.

Po dokonanym zbiorze orzechów rozbija się je siekierą i wydobywa jądra. Krajowcy otwierają je nożem nader sprytnie; zdolny łupacz potrafi tak szybko otwierać orzechy, iż nie nadążyłoby mu z wydobywaniem ziarna sześciu ludzi niewprawnych.

Wyluskane jądra suszy się w suszarniach, urządzonych umyślnie w tym celu na plantacji. W przeciągu 24 godzin można wysuszyć 750 kilogramów ziarna.

Po wysuszeniu musi się ziarna poddać zupełnemu wystygnięciu i przesypywać je od czasu do czasu, w przeciwnym bowiem razie rzuciłaby się na nie pleśń i zbiór straciłby na wartości. Tak przygotowane ziarna miele się, a wtedy idzie ta mąka kokosowa do handlu, jako pożądaný dodatek do pieczywa.

O wiele korzystniejsze jednak jest używanie tych orzechów do fabrykacji mydła i oleju, a nadewszystko masła kokosowego, które się dzisiaj tak bardzo rozpowszechniło po całym świecie, jako tłuszcz do potraw, znacznie tańszy, a zdrowszy od zwierzęcych.

Tu w Ameryce wyrabiają z orzechów ko-

kosowych jeszcze sztuczny koniak. Wszędzie zaś, gdzie te palmy rosną dziko, lub gdzie je uprawiają w plantacjach, krajowcy wyrabiają z twardej skorupy orzecha rozmaite naczynia i inne drobiazgi.

Na rynki wielkich miast dostarczają zresztą i całych orzechów kokosowych, a uliczni przekupnie sprzedają je na kawalki, albo niczem nie zaprawiane, albo też oblane czekoladą.

W różnych czasach, odkąd wyjechałem z Polski, miałem nieraz sposobność jeść owoc palmy kokosowej, na co w Warszawie nie mogłem sobie pozwolić, ale widocznie ani razu nie przypatrzyłem się dość dokładnie temu owocowi, skoro dziś ze zdziwieniem usłyszałem z ust profesora takie pytanie:

— A wiesz ty, na co jest wosk w tych orzechach?

— Wosk? — powtarzam — kiedy ja nic nie wiedziałem, że w nich jest wosk.

— Przecież orzech kokosowy to twarda kula otoczona włóknem i pokryta warstwą wosku — objaśnia mnie profesor. — Przypomnij sobie, że palmy kokosowe rosną dziko najchętniej w okolicach nadmorskich. Opatrzność więc uzbroiła te orzechy do pływania po wodzie, bo właśnie ta warstewka wosku nie dopuszcza, by zamokły włókna, otaczające owoc. Mocne zaś a lekkie włókienka tworzą dla ko-

kosa niejako pas bezpieczeństwa i unoszą go ponad wodą.

Ileż to więc owoców niezwykle cennych szłoby wiecznie na marne z palm nad morzami — pomyślałem sobie — gdyby nie ta zdolność pływania orzechów po wierzchu wody.

A kiedy tak na każdym kroku rozważam, jak wszystko w przyrodzie jest precudownie urządzone i przemądrze obmyślane, przestają się niepokoić przyszłym losem mojej rodziny. Bo jeśli Bóg zatroszczył się o mizerny orzech, by się mógł na wielkiej fali morskiej utrzymać i nie pójść w czeluście bezdenne na zmarnowanie; toć przecie nie zechce zatury garstki tułaczów, co Jego opiece wieczystej ufają — i tylko z omyłności ludzkiej zeszedli na błędne drogi, lecz ani na chwilę dziś nie wątpią, że Ty nas, Panie, «powrócisz cudem na ojczyzny łono»...

---

## XII.

Jeszcze jedna plaga. — Napad ecitonów. — Bezplatni czyściciele domu. — Ryk lwa. — Czarny wyjec i pani Tor-nando. — Porwanie przez krokodyla. — Ucieczka węża. — Królewski ptak z wachlarzem. — Potworna wilgoć.

Widocznie za mało było plag rozmaitych, jakie się tu na nas wala, skoro oprócz moskitów i komarów, które się uwzięły, żeby nas



zamęczać, oraz potwornej wilgoci tych lasów gorących, skutkiem których ciągle chorujemy, napadły nas jeszcze drapieżne ecitony.

Są to małe, czarne mrówki puszcz zwrotnikowych.

Ekwadorczycy dziwią się, że dotychczas w Palmalu nie dokuczała nam ta nieznośna plaga.

Wieczorem, kiedyśmy nagle uczuli dotkliwe uklucia, sprawdziliśmy ze światłem, że połowę domu obsiadły niespodzianie tysiące tych czarnych owadków. Uzbrojone silnymi szczękami, przypinały się niemi do ciała, kłując jednocześnie żądłem.

Nasz gospodarz zaraz nam poradził, żebyśmy się co prędzej przenieśli na kilka godzin na przeciwną stronę domu. Kiedyśmy tak postąpili, zabezpieczyliśmy się przed napastnikami zupełnie. Okazało się bowiem, że ten gatunek mrówek drapieżnych ma zwyczaj wędrować wprawdzie wielką masą, ale zawsze kolumną ścieśnioną. Wystarczyło więc usunąć się z ich drogi, która przechodziła tylko przez jedną część domu.

Ale zato cokolwiek na swej drodze znalazły, na to napadały, niszcząc wszystko, co się dało. W domu przejście tego wojska było tylko oczyszczeniem go z karaluchów i tym podobnego plugastwa. Gdzieindziej jednak ecitony napadają na wszelkie stworzenia, jakie

się na ich drodze znajdują. Pastwą ich stają się wszelkie owady, pająki, larwy, żaby, nawet węże.

Ponieważ ecitony nie naruszają zapasów spiżarnianych, gospodarz nasz z rodziną nie narzekał na wczorajszy ich napad. Dziś zato jest w istnej rozpaczycie z innego powodu, a jego żona i domownicy zawodzą głośno od rana.

Śliczny to był ranek, jak zresztą najczęściej odkąd jesteśmy w Palmalu, gdzie zwykle mamy piękną pogodę aż do południa, potem się chmurzy, a wieczorem zaczyna się całonocna ulewa.

Tej nocy deszcz trwał dość krótko. O świcie wyszliśmy przed dom polować na mucholówkę królewską, która się tu w pobliżu kręciła wczoraj. Ledwieśmy z szałasów wyszli, powietrze napełniło się głosami, któreby napewno dreszczem strachu przejęły każdego, nie wiedzącego, kto się w taki sposób w puszczy odzywa.

W pauzach słychać chwilami coś jakby chrząkanie wielkich wieprzów; to znów wyraźnie potężny ryk niby lwa. To wielki wyjec czarny. Najokazalsza z małych tutejszych, ma ciało pokryte czarnym jak smoła, miękkim włosiem, który, wydłużając się ku dołowi boków, przybiera barwę złocisto-płową.

Choćby nie wiem jak głośno gwizdały dzwiczną zwrotkę kocyki, lub jak najdonośniej

świstały husaki; choćby największą wrzawę wyprawiały papugi, lub penelopy, powtarzające w gąszczach bambusowych swoje «manatarku»: to jeszcze wszystkie głosy puszczy pokryje jedno potężne odezwanie się czarnego wyjca.

A jednak kiedy ta wielka małpa dziś rano ryknęła, zagłuszył ją krzyk pani Tornando. To żona naszego gospodarza zaczęła w niebogłosy lamentować.

Słuchamy, patrzymy, a tu kobiecina od strony poblizkiego jeziora biegnie z powrotem ku domowi z wielkim płaczem i rękami wywija.

Co się stało?

Krokodyl pożarł dwie kozy!

Stado bydła pasło się nad poblizkiem jeziorem i widocznie dwie kozy musiały nieoglądnie zbliżyć się zbyt do wody, gdzie stały się pastwą potworów, które w tem jeziorze cierpiały na brak ryb i pożerały kaczki i inne ptactwo wodne, były jednak bardziej zadowolone, gdy się im niekiedy trafiło cieleń lub pies poblizkiego kolonisty.

Pobiegliśmy co żywo na brzeg, bośmy w tem jeziorze sami jeszcze krokodyla nie zauważyli i tylko od Tornanda słyszeliśmy, że nieraz dawniej złowił takiego niebezpiecznego potwora długości 6 do 7 metrów.

Niestety jednak nie doczekaliśmy się pojawienia krokodyla, a zato tuż nad brzegiem,

w wypróchniałym pniu drzewa, zobaczyliśmy anakondę. Był to największy wąż, jakiegośmy w Palmalu spotkali. Przez szparę dojrzelśmy w dziupli kilka zwojów olbrzymiego, łuskowatego cielska, upstrzonego dużymi, czarnymi kołami.

Wszelkie nasze próby, by węża wypłoszyć i dopiero potem go zastrzelić z zachowaniem ostrożności, by nie uszkodzić muzealnego okazu, na nic się nie zdały. Ukrył się tak głęboko, że nam przepadł zupełnie.

Poszliśmy tedy odszukać muchołówkę królewską, gdyż zależało nam na zdobyciu tego ptaka, należącego do rzadkich po gabinetach przyrodniczych.

Przystanęliśmy w miejscu, gdzieśmy wczoraj zauważyli tego najpiękniejszego może ptaka Palmalu, a gdzie na wolnej od cienistych drzew przestrzeni wdzierało się na dół słońce jaskrawymi snopami. W powietrzu wirowały setki różnobarwnych motyli, inne zaś gromadami przysiadły na mokrym piasku dla ssania wilgoci, która stanowi ich pożywienie.

Wśród nich zjawiał się często, wyglądający raczej jak ptak niż owad, olbrzymi motyl morfo, którego wierzch pysznych skrzydeł wygląda jakby ze wspaniałego atlasu błękitnego.

W miejsca bardziej zacienione kryły się w różnych gatunkach helikonie, motyle czarne z barwnymi plamami; niektóre zaś o skrzy-

dłach zupełnie przezroczystych, które podczas lotu nikły dla naszego oka.

Gdyśmy tak zajęci byli obserwowaniem motyli, od których aż się nam w oczach mieniło, rozległ się głos żaloszny, jak gdyby ktoś wygrywał dwie nuty na flecie.

— To właśnie ona — szepnął uradowany pan Stefan.

Istotnie, sławna muchołówka królewska ukazała się nam zaraz w powietrzu. Goniła za jakimś motylem, roztaczając przepyszny wachlarz, który zdobi przód jej czoła. Złapała modrego motylka i wraca swoim zwyczajem na stanowisko, z którego zleciała; siada niewysoko od ziemi w gąszczu leśnym, w miejscu jednak dobrze słońcem oświetlonym, gdyż cieniu nie lubi.

Nim połknęła motyla, nielitościwy strzał zapalonego przyrodnika przerwał jej życie.

Siedziała na poprzecznej ljanie, z której spadła na ziemię. Był to ptak blado-płowej barwy, cały w prążki ciemne. Na czole miał pęk dość długich krwisto-czerwonych piórek, z których każde zakończone jest plamką czarną z metalicznym połyskiem granatowym. Siedząc spokojnie, składa muchołówka ten pęk piór na głowie, tak, że go zdaleka nawet nie widać. W locie jednak nastawia czub i roztacza w świetny wachlarz nad dziobem, podobno w celu omamienia barwnością piór go-

nionego motyla. Wachlarz czołowy u samicy zamiast czerwonej, ma barwę ochrowo-żółtą.

Gniazdo tego cudnego ptaszka w kształcie długiego worka z brody Absalona wisi na niższych gałęziach drzew leśnych.

W tej chwili królewski ptak Palmalu z czarownym wachlarzem nad czołem stoi przede mną jak żywy—ale już tylko wypchany.

Kiedy piszę te słowa, mój profesor, skończywszy swoją robotę, wzdycha, błagając nieba o trochę mniej deszczu, żeby piękna muchołówka nie potrzebowała schnąć zbyt długo. Ptaki, które nam wysychały w czterech dniach po tamtej stronie Zarumilli, tutaj w Palmalu kazały na wyschnięcie czekać po dziesięć dni i jeszcze nas nie zadowolają.

Ach, ta wilgoć! Nikt o tem nie ma wyobrażenia, kto nie podróżował po dziewiczych lasach zwrotnikowych. Przecież tu, w Palmalu, ulewne deszcze padają niemal cały rok. Jeśli się zdarzy przerwa parotygodniowa, to taki dziw, jak gdyby u nas śniegu w zimie nie było.

Odkąd włączymy się po Ekwadorze, nie przypominamy sobie całej doby bez deszczu.

To też nic dziwnego, że tu wilgoć tak straszna. Rzemień dziś lojem wysmarowany, jutro pokryje się pleśnią. Strzelby, noże i wszelkie żelastwo, które codzień mamy w użyciu i codzień smarujemy oliwą — wiecznie zardze-

wiale. A narzędzia drewniane, a nasze ubrania, nasza bielizna — wszystko to tak czuć pleśnią, jakby leżało ciągle w jakiej mokrej piwnicy.

Gdyby nie ta wilgoć potworna, od której ciągle chorujemy i która nas już do kości przeżera i daje się we znaki na każdym kroku wraz ze wszystkimi plagami strefy gorącej,— byłby ten cudny Palmar naprawdę rajem.

A jednak zdaje mi się, że nawet i wtedy, rwałbym się stąd do Polski, jak dzisiaj, bo im dłużej żyję pod obcym niebem, tem większą czuję tęsknotę do ojczystej ziemi.

### XIII.

Morze płomieni. Rolnik bez pługa. — Jak się w Ameryce gospodaruje na roli. — Wycinanie i palenie lasów dziewiczych.—Straszne wspomnienia.—Kłopoty wychodźców.—Piekło—i raj.—Oplakane skutki wilgoci.—Błogosławione banany.—Szczęście zamorskie.

Otacza nas w tej chwili morze płomieni. Puszcza się pali — a raczej to, co po lesie zostało, gdy do niego przyszedł człowiek z siekierą. To rolnik puścił ogień na swoje pole, na którym stokratne plony wyda mu ziarno.

Pamiętam jeszcze w Borówce, kiedy chłopcem byłem małym, słuchałem opowiadań gospodarzy, co na emigracji byli i wróciwszy z Ameryki

do kraju, dziwy sąsiadom prawili o zamorskich zyczałach. Wtedy nieraz zastanawiałem się nad tem, jak to się w jakiejś Brazylii uprawia pole, nie używając wcale pługa lub brony.

Dopiero kiedy sam znalazłem się u boku ojca w puszczech brazylijskich, gdzieśmy mieli złoto zbierać z tej ziemi obiecanej, a gdzieśmy się tylko łzami poili, zrozumiałem, jak to w klimacie międzyzwrotnikowym musi się inaczej gospodarować na roli, aniżeli w polskiej wsi, w naszej strefie umiarkowanej.

Dziś wiem już, że tak samo jak w Brazylii, uprawia się ziemię w leśnych okolicach Peru i Ekwadoru, Kolumbji i Boliwji, wogóle wszędzie, gdzie Ameryka Południowa obfituje w lasy dziewicze. Nie wszędzie jednak jest urodzaj tak pewny, jak w Palmalu ekwadorskim, w którym nietylko miejscowi zakładają sobie plantacje różnych cennych roślin zwrotnikowych, ale gdzie nawet sąsiedzi z posusznego Peru wynajmują wielkie obszary leśne w tym celu.

Tu nigdy niema długiej posuchy, bo deszcze padają prawie cały rok, więc na gruncie, przygotowanym pod plantacje po wycięciu lasu, daje świetne plony tytoń i banan w najdoskonalszym gatunku, podobnie jak ryż i kawa, jak fasola i kukurydza.

Ale po kupieniu kilku czy kilkunastu morgów lasu, czeka kolonistę praca stokroć cięż-

sza, niżli nasza orka z wołami po polu, choćby kamieniem.

Łatwo powiedzieć: wytnie las, posieje i plon będzie zbierał znakomity. Zapewne. Ale kto nie widział dziewiczych lasów w Ameryce, ten nie może mieć pojęcia o tem, co to znaczy puszcę taką wykarczować. To nie polski las. Tu drzewo jedno w drugie, to olbrzym. Nie dość tego, bo jeszcze każde z tych drzew nie tylko potężnymi konarami trzyma się, niby za ręce, z sąsiadami, ale jeszcze sto ljan, jakby mocnymi linami, powięzało pnie z pniami, korony z koronami i wszystko splątało, zgmatwało tak strasznie, że niema sposobu wyciąć jednego drzewa, ponieważ musi się wraz z niem pociągnąć i całe otoczenie.

To też nic straszniejszego, nad ten widok walących się w puszczy dziewiczej drzew olbrzymich, siekierami podciętych. Nie dość, że człowiek musi tyle się namozolić, zwłaszcza gdy trzeba dla drwala stawiać rusztowanie karkołomne, by ciąć siekierą w miejsce nie tak grube, jak przy ziemi; ale co za mnóstwo niebezpieczeńść musi się dziać podczas wycinania lasu w takich okolicznościach; ile razy człowieka na śmierć przywałą te olbrzymy, przewracające się z hukiem jedne przez drugie na ziemi!

Sam widziałem i pewnie w życiu nigdy nie zapomnę tej okropnej chwili, gdy w Paramie kum mojego ojca i nawet daleki krewny mo-

jej matki, Jacenty Kopeć, zginął zmiażdżony olbrzymem leśnym...

Zanim przystąpi się do cięcia samych drzew, trzeba wyrznąć potworny gąszcz, jaki stanowi podszycie lasu. Do tego celu służy wielki nóż, zwany machete. Potem dopiero po krzakach zabiera się z siekierą do mniejszych drzew, do młodzieży leśnej, a wreszcie do kolosów, nad którymi napoci się najdłużej.

Niepodobna opisać wrażenia, jakie sprawia puszcza dziewicza z chwilą skończenia tych ciężkich robót. Ani kroku nie robi człowiek wśród tego chaosu drzew powalonych i gmatwaniny połamanych gałęzi, ljanami splątanych.

Kolonista, dokonawszy tego dzieła, zostawia swoje przyszłe pole na kilka miesięcy własnemu losowi. Czeką, aż liście i cieńsze gałęzie wyschną. Więc rozpacz go bierze, gdy właśnie w tym czasie deszcz pada dzień za dniem. Jemu było trzeba na tych kilka miesięcy suszy; gdy mu bowiem dopisze słoneczna pogoda, wycina on wszystkie konary i gałęzie, gromadzi je w stosy i podpala.

O ile zatem materiał był suchy, ogień wszystko strawi łatwo i pole pod uprawę oczyści. Zostaną jedynie najgrubsze pnie, które dopiero z czasem pod wpływem deszczów zgniją i spróchnieją. Nikt ich z roli nie usuwa, lecz już do siebie przystępuje.

Jeżeli jednak ciągle deszcze moczyły świe-

zo ścięte drzewa, plantator nie może mieć nadziei na dobre wypalenie gałęzi na popiół, a tem samem na należyte oczyszczenie roli, z której, z nieopisanym trudem, musi wtedy uprzętać masy mokrych konarów i gałęzi na brzegi swych pól.

Ani siejba pod tem dziwnem niebem nie przypomina niczem naszej. Rolnik idzie tu na wypalone swoje pole z drągiem czy motyką i robi w ziemi dziury. W nie wsadza kawałek trzciny cukrowej lub pokrajaną łodygę manjoku, (który daje mąkę tapiokę); albo wsypie w taki otwór po kilka ziaren ryżu czy kukurydzy lub fizonu, (czyli czarnej fasoli)—i przydeptawszy nogą, odchodzi spokojny o stokrotne plony.

W ciągu kilku miesięcy gorąco z wilgocią zapuści na pole taką masę chwastu, że ten gąszcz wysoki zagłuszy zupełnie roślinę uprawną. Więc w tym celu trzeba znowu parę razy do roku oczyszczać pole z uparcie rosnącego a niepotrzebnego zielska.

Są gdzieniegdzie w tej strefie okolice, w których, jak naprzykład w tym rajskim Palmalu, raz oczyszczone po lesie pole służy długie lata rolnikowi prawie bez żadnej uprawy.

Ale tak nie jest w tych krajach, do których z Europy tłumy emigrantów przybywają szukać szczęścia, nie znalazłszy go na własnym zagonie ojczystym. Dla moich rodziców

i gromadki dawnych gospodarzy z Borówki, oraz innych wsi w gubernji łomżyńskiej, tą ziemią obiecaną, gdzie ich miała czekać lepsza niż w kraju dola—była Brazylja.

Ulegając namowom płatnych naganiaczy, którzy, jeno o własny zysk dbając, wciągali drugich w nieszczęście, pojechaliśmy tam, wyprzedawszy ojcowiznę. Niestety, z całej gromady wychodźców nikt sobie doli nie polepszył, ba, nawet nikt nie założył własnego gospodarstwa w Paranie, dokąd nas wprost z okrętu zapędzono.

Rząd brazylijski wydawał tam polskim chłopom grunta jałowe, które obcy przybysze mieli swym potem w żyzną rolę zamieniać. Ludzie, pod gołym niebem z małemi dziećmi, wyglądali w dzikiej puszczy przybycia inżynierów, którzy mieli działa wymierzać; tymczasem po wielu tygodniach oczekiwania przybyli geometrowie w sam raz, kiedy minął już ostatni czas siejby.

Inni emigranci przyjechali tam wcześniej i zdołali osiedlić się na wymierzonych im gruntach, ale zato gdy przyszedł czas wypalenia pola, zrobiła się słoła kilkotygodniowa, wreszcie czas siejby minął, wszystko przepadło i całe rodziny skazane zostały na rok nędzy i głodu.

Wielu z pośród nas dostało ziemię stepową, zupełnie nieurodzajną. Aby się co na niej

urodziło, trzeba nietylko dużo nawozu i starannej uprawy; trzeba, żeby nie zniszczyła szarańcza, lub jaka inna plaga, ale nadewszystko trzeba trafić na właściwą porę do siewu. A tu nikt jej nie wskaże, bo w tej strefie nigdy dokładnie nie można oznaczyć, kiedy ma się skończyć czas deszczów, a kiedy zacząć okres posuchy. O nawóz zaś trudno emigrantom w Brazylii, bo zwykle nie mają inwentarza; nawet gdy jest za co kupić bydło, niema go czem karmić. Żywi się tam ono trawą, póki młoda, a gdy ta poschnie, krowy giną z głodu, bo skoszonej trawy jeść nie chcą — tak jest zła, a inne rośliny pastewne siać w Brazylii, to rzecz bardzo kosztowna.

W okolicach, w których żyliśmy w Paranie, polscy wychodźcy po wycięciu lasu i wypaleniu pola, sadzili kukurydzę, wraz z czarną fasolą, która się owija około łodyg tamtej. Następnego roku sadzili tam kartofle, poczem już trzeba było ziemię zostawić na lat pięć, sześć, może siedm. Przez ten czas zarosła by gąszczem chwastów i drzew, które znów wyciąwszy, wysuszywszy i wypaliwszy, można było na tem samem polu siać przez trzy lata, poczem już bez nawozu rola przestałaby rodzić. A wtedy należy posuwać się dalej w las i próbować szczęścia gdzieindziej.

Mimo to przetrwałby tam rolnik, gdyby mógł zbiór obfity przechowywać z roku na rok,

co jest niemożliwe, gdyż robactwo zniszczy zaraz wszystko.

To też wieczna tam drożyzna i nędza. Jeśli lato urodzajne, to znów niema zbytu, bo wszystko tanie, a na każdym kroku wyzyskiwacz czyha na kolonistę nieoświeconego, nie umiejącego nawet porozumieć się językiem miejscowym i oddalonego od miasta zwykle o kilkadziesiąt mil dzikiej drogi.

Oj, przeszliśmy tam przez piekło w tej zachwalanej nam Brazylii!

Czyż taki Palmar ekwadorski to nie raj prawdziwy w porównaniu z tamtym ogrodem naszej męki... Tu jakoś nikt nie narzeka na nieurodzaj, każdy chwali sobie plony, jakie zbiera bez zbytńich trudów i troski.

Ale któżby tu z naszych wyżył w tym gorącym a wilgotnym klimacie wśród mnóstwa plag i chorób wiecznych. Nie dość, że się tu trzeba nabawić reumatyzmu, jakiego nie pozbędzie się człowiek do końca życia; nie dość że się tu tydzień po tygodniu zapada po kolei to na dyzenterję, to na malarję; że się naokół widzi ludzi ciągle cierpiących na zimnicę i dziesiątkami wymierających od zgnilej gorączki, żółtej febrы...

Ale co najstraszniejsza, to te wieczne wrzody na całym ciele, te rany trudne do wyleczenia, niewiadomo po czem, niewiadomo z czego. Najprzeróżniejsze pasorzyty zwierzęce

i roślinne powodują ciągle zakażenia krwi; byle ukłucie owada, byle najłżejsze skaleczenie, choćby zadraśnięcie, o co przecież w takich lasach codzień łatwo — a już rana, która się będzie jątrzyć miesiącami i nigdy zagoić nie zechce w tym niezdrowym klimacie.

Jak tu nam żyć w tym palmowym rajul

Ci ludzie o miedzianej piersi, co się rodzi-li pod gorącym niebem, wśród wiecznie wilgotnych lasów, mogą to wszystko jakoś zno-sić i nie zamieniliby się z nami na kawałek polskiej ziemi. Dobrze im tu we własnej ojczyźnie, u brzegów oceanu Wielkiego, u stóp śnieżnych Andów, pod zielonym dachem palmowym. Mogliby całe lata nie troszczyć się o nic, bo choćby same banany, o które tu do-prawdy tak łatwo, jak u nas o pokrzywę, wy-żywią im i najliczniejszą rodzinę i najzasob-niejszy inwentarz.

Kolonista, u którego w tej chwili mieszka-my, ma tu naprzykład taką bananiarnię, w któ-rej dwie trzecie owocu gnije na ziemi i pada na łup robactwa, a dopiero reszta żywi gro-madkę ludzi, oraz konie, muły, krowy i świnię.

Banan niedojrzały, w którym krochmal nie zamienił się jeszcze na cukier, gotują na jarzynę, lub pieką jak chleb. Dojrzały znowu jest wybornem pożywieniem pod wszelką po-stacią, a już na surowo uchodzi słusznie za jeden z najsmaczniejszych owoców.

Na to zaś, by mieć dla całego domu po-żywienie na rok, potrzeba parotygodniowej pracy kilku ludzi. Dość powtykać w ziemię, w odstępach, pędy bananowe, by już w rok niespełna mieć zbiór obfity i to przez czas długi, gdyż ścięta roślina z korzenia, odrasta nieustannie. Kilka razy do roku trzeba oczy-ścić plantację z chwastów, a raz posadzone banany, żyją i rodzą przez lat kilkadziesiąt.

Ale polski chłop nie będzie żył bananem. Żeby zaś uprawiać w gorących krajach Ame-ryki rolę, na tyle napotyka trudności, że sto-kroć częściej zmarnieje, zamiast byt sobie po-lepszyć, jak o tem marzył, pozbywając się oj-cowizny i wędrując na tułactwo za morza.

Może kiedyś, gdy mi Bóg pozwoli ułatwić rodzicom powrót do Polski, zbiorę w Borów-ce gospodarzy i zaglądając do tego pamiętni-ka, by z własnych zapisków przypomnieć so-bie, co tu przeżyłem, opowiadać im będąc o piekle, przez jakieśmy przeszli w Brazylii, a wtedy słowa moje zdołają powstrzymać choć-by cząstkę tych, którym się śni szczęście za-morskie.



#### XIV.

Pożegnanie Palmalu. — Noc na czatach. — Na opuszczonej kolonji. — Zbiegi z Putumajo. — Wyprawy po wieloryby. — Zbójcy z Polinezji. — Napad brunatnych bandytów. — Strzelanina. — Czarodziejska latarka. — Strzała na pamiątkę.

Jutro opuszczamy Ekwador i przenosimy się w lasy Brazylii, tej samej Brazylii, w której zostawiłem rodziców, a jednak i po przejściu granicy będą mnie jeszcze dzieliły od nich setki mil. Wszak ja ciągle jeszcze będę pod równikiem, gdy oni w okolicach zwrotnika Koziorożca; ja dotychczas niebardzo się oddaliłem od brzegów oceanu Wielkiego, gdy oni aż nad Atlantykiem.

Zanim pożegnaliśmy Palmal ekwadorski, spotkała nas przygoda, po której mogli mnie już rodzice moi nie oglądać.

Dotychczas używaliśmy strzelb jedynie do łowów, a nasze kule uśmiercały zazwyczaj tylko zwierzynę. Dziś po raz pierwszy w ciągu naszej tylomiesięcznej podróży trzeba ich było użyć, niestety, przeciwko ludziom, w obrobie własnego życia. Było ono w najwyższym stopniu zagrożone.

Jeszcze nie ochłonałem z wrażenia, jakie na mnie wywarł ten wypadek, o którym pan

Skierski powiada, że powinniśmy być zadowoleni, iż nie powtórzył się dotąd z jakie dziesięć razy.

Istotnie, podróżując w towarzystwie dwóch ludzi półdzikich, po okolicach zupełnie dzikich, poprzez głucho puszcze niedostępne, najczęściej zdala od ludzkich osad i dróg, mogliśmy byli być narażeni na częste napady bandytów, których tu nigdzie nie brak, zwłaszcza że mają zapewnioną bezkarność; któż ich będzie śledził w dziewiczym lesie?

Już wczoraj Fidżinos i Tahiti ostrzegali nas, że zauważyli coś podejrzanego. To też w ciągłym pogotowiu czuwaliliśmy całą noc w swoim namiocie. Właśnie bowiem tak się zdarzyło, że od paru dni nie mogliśmy nigdzie dostać się na nocleg pod dachem i musieliśmy obozować pod gołym niebem.

Znajdujemy się nad strumieniem, na którego brzegach była do niedawna jakaś kolonja. Zastaliśmy jeszcze ślady po plantacji ryżu, ale już pole musiało być od dłuższego czasu przez osadników porzucone, ponieważ wszędzie pokrywa je z powrotem dziki gąszcz bujnych chwastów i krzewów, a tuż nad wodą w splotach ljan pną się w górę drzewa rozłożyste, upstrzone barwnym kwieciem powojów.

Odnaleźliśmy i ruiny sporego domu na palach, ale już nie dało się z resztek budynku skorzystać, by tam chwilowo zamieszkać.

Wybraliśmy tedy możliwie najsuchsze i najwyższe miejsce o kilkanaście kroków od strumienia, który tam tworzy parę malowniczych zakrętów i uwiązawszy rozjuczone muły do drzewa, rozbiliśmy namiot.

Żaden z nas czterech nie kładł się przez całą noc. Czekaliśmy, walcząc na razie tylko z komarami.

Wprawdzie już nieraz dawniej nasi brunatni służący ostrzegali nas przed napadem czerwonoskórych Indjan, zawsze jednak uniknęliśmy szczęśliwie spotkania z dzikimi krajowcami. Natomiast tym razem sami zauważyliśmy większy, niż kiedykolwiek niepokój obu Malajów po rozmowie ze spotkanym wczoraj w drodze kupcem ekwadorskim. Dowiedzieli się od niego złych nowin i ciągle nam powtarzali, byśmy mieli broń w pogotowiu. Kiedy wreszcie północ minęła, a jeszcze nic nie zaszło podejrzanego w okolicy naszego obozu, zaczęliśmy natarczywiej dopytywać czego się właściwie obawiają.

Okazało się wtedy, że wistocie powinniśmy się byli spotkać z włóczącą się po tych stronach już od kilku tygodni bandą bardzo niebezpiecznych rozbójników, którzy szczególnym zbiegiem okoliczności, pochodzili z tej samej części świata, co i nasi służący.

Oto w głębi Peru, w niezmiernie niedostępnych górach, znajduje się w Putumajo

plantacja drzew kauczukowych, której przedsiębiorcy dopuszczali się tak strasznych okrucieństw na miejscowych Indjanach, zmuszając ich do wydatniejszej pracy, że wreszcie czerwonoskórzy robotnicy opuścili te okolice i plantatorowie musieli starać się o obcych.

Niedawno w jednym z portów ekwadorskich wysłannik owego przedsiębiorstwa z Putumajo wynajął do swych plantacji kilkudziesięciu najmitów, tak zwanych «kuli», należących do rasy malajskiej. Przybyli zdaleka nie słyszeli jeszcze o tem, dlaczego nikt nie chce się najmować do robót przy wydobywaniu kuczuku w Putumajo, więc się chętnie zgodzili, byle co prędzej porzucić innego przedsiębiorcę, który ich strasznie wyzyskiwał.

Stanowili oni mianowicie załogę statków wielorybniczych, które u wybrzeży Peru i Ekwadoru puszczają się na niebezpieczne wyprawy dla zdobycia kaszalota czyli potwala. Statki te, cuchnące tłuszczem zjełczałym, tak zapowietrzają porty, że im nawet nie wolno przebywać w samej przystani. Załogi zaś ich, złożone z ostatnich wyrzutków rozmaitych krajów, (ponieważ nie da się do nich nająć żaden porządny marynarz, by nie być zmuszonym dosłownie kąpać się we wstrętnym tłuszczu), stają się często postrachem wybrzeży i wszędzie uchodzą za zgraję zbójców.

Do takich właśnie rozbójników morskich należeli owi Malajczycy, którzy, porzuciwszy swego kapitana, najęli się do Putumajo.

Po kilku miesiącach zbiegli z plantacji kaczuki, podobnie jak Indjanie, nie chcąc znosić okrucieństw i odtąd włóczyli się po dorzeczcu górnej Amazonki, gdzie napadali na podróżnych kupców.

Z ową bandą mieliśmy się spotkać oko w oko przed opuszczeniem Palmalu ekwadorskiego. Przed nią ostrzegali nas służący. Dziwiliśmy się, że oni mówią o niej z taką niechęcią, skoro sami są również Malajami i niedawno jeszcze służyli także na statkach, polujących na wieloryby. Na nasze pytania sami nam to wytłómaczyli.

Oto uważali się oni za coś od tamtych wyższego, jako Maori, z dziada pradziada mieszkający na Nowej Zelandji; tymczasem tamci, w pojęciu Fidzinos a Tahitiego, nie mieli nigdzie rodzinnego kraju. Pochodzili wprawdzie także z wysp, jak Nowa Zelandja, należących do Polinezji, ale się na nich rodzili jako włóczęgi, jako przybłądy. Byli to bowiem Malajowie azjatyccy z archipelagu Zundzkiego, których ku Australji ciągnęły zbójckie wyprawy, a burze morskie lub inne przygody zagnały na malutkie wysepki koralowe, kokosowcami pokryte, wśród archipela-

gu Polinezji, gdzie też osiadali, znani pod nazwą, Normandów Wschodu.

Kiedyśmy się im przypatrzyli dziś rano, wydali się nam jednak bardzo podobni do naszych Nowozelandczyków, którzy nimi tak pogardzają.

Dzień był już jasny, kiedyśmy doczekali się ich zjawienia. Znużeni całonocnem czuwaniem, piliśmy właśnie kawę, by odpędzić senność, gdy naraz do naszego obozu doleciały od strony strumienia liczne głosy ludzkie.

Porzuciliśmy niedokończone śniadanie i co żywo rzuciliśmy się w zarośla na brzegu. W tej chwili muły nasze odezwały się głośno, na co natychmiast odpowiedziała głośniejsza wrzawa na wodzie.

Fidzinos w żółtym zawoju na głowie, a Tahiti w czerwonym, obaj z wyciągniętymi mieczami malajskimi, wyjrżeli pierwsi z poza gęstwiny nadbrzeżnej i w tej chwili ku nam zwrócili się, szepcząc, że o kilka kroków od siebie mamy kilkunastu rozbójników na łodziach.

Usłyszeliśmy śmiech dziki, a służący nasi wytłómaczyli nam, że wyraz, jaki usłyszeli, oznaczał po malajsku «słomkowy kapelusz». To napastnicy ujrzeli właśnie ponad krzakami postać, najwyższego z nas czterech, profesora, którego żółty kapelusz sterczał z nad zieleni, gdy mego hełmu jeszcze nie było widać z poza drzew.

Wówczas wystąpiliśmy naprzód, Maori z gołemi mieczami, my kierując lufy strzelb wprost na wodę, żeby je dobrze z łódek widziano. Na nasz widok, podniósł się krzyk większy. Zobaczyliśmy wyraźnie i zbliżka wykrzykujących dzikich Polinezyjczyków w barwnych strojach i jaskrawych czapczkach malajskich

Małe ich łódeczki sunęły wprost na nas, a z luków w ich rękach naciągniętych, świsnęły naraz w powietrzu strzały.

Coś mi gwizdnęło koło ucha, a pan Stefan, któremu strzała przeleciała pod pachą, mruknął przez zęby:

— Ognia!

Wypaliliśmy obaj odrazu, a białe kłęby dymu przysłoniły nam widok na chwilę. Podczas tego zasypały nas na nowo strzały malajskie, które i profesora i mnie w kilku miejscach drasnęły bardzo boleśnie. Wtedy wypaliliśmy powtórnie w napastników. Ktoś jęknął pomiędzy nimi i czyjeś ciało runęło z członka w toń strumienia.

Znowu wrzask dziki rozdarł powietrze, a wtedy Fidżinos powstrzymał nas od nowych strzałów, mówiąc, że zbójcy chcą się z nami porozumieć. Nie opuszczając strzelb ani na chwilę, wpatrzeni bez przerwy w ruchy napastników, czekaliśmy, gotowi do nowych strzałów, co nam powie Fidżinos, z którym już rozmawiał wysłannik bandy.

Kiedy dowiedzieli się, że nie jesteśmy kupcami i że nie wieziemy nietylko towarów, ale nic takiego, co by dla nich przedstawiało wartość; a nadewszystko kiedy z objaśnień Fidżinosa o celu naszej podróży wzięli nas za czarowników, — sprawa wzięła inny obrót.

Postanowili nas nie napastować nadal i odjechać w swoją drogę, pod warunkiem jednak, że ich obdarzymy jakimś przyrzędem czarodziejskim. Zaczęliśmy się zatem naradzać, co by ich mogło zadowolić. Baliśmy się bowiem, że z czemkolwiek wystąpimy, wszystko zawiedzie ich oczekiwania.

Fidżinos musiał im zapewne wspomnieć o przyrzędach do wypychania ptaków; kiedy zaś damy im coś z tego, przestaną wierzyć w nasze moce czarnoksiężskie.

Wtem przyszła mi świetna myśl do głowy. Szepnąłem profesorowi słówko i zostawiwszy go na czatach u brzegu, poskoczyłem do namiotu. Chwyciłem stamtąd jedną z latarek elektrycznych, których mieliśmy większy zapas w podróży i powróciwszy nad wodę, kazałem za pośrednictwem Fidżinosa wylądować trzem dzikim z pierwszej łodzi. Na wszelki wypadek rewolweru nie puszczając z ręki i zabrawszy z sobą Tahitiego, poszedłem z trzema brunatnymi zbójami w najciemniejszy zakątek zarośli pod grupą wielkich drzew

cienistych; w miejscu, w którym panował niemal wieczorny mrok, kazałem im przykucnąć.

Naraz oślepiła ich jasność jaskrawa. To ja nacisnąłem guzik i snop światła elektrycznego oblał dzikich. Ryknęli z radości, a kiedy im pozwoliłem wziąć czarodziejskie pudełko do ręki, kiedy wskazałem, jak należy się z niem obchodzić i jeden z nich, dotknąwszy guzika, oświetlił Tahitiego, zaczęli się z uciechy aż tarzać po ziemi. Po prostu, wierzyć nie chcieli, byśmy mogli darować im coś tak cennego, co, jak nas zapewniali, będzie w gnieniu oka zabijało węże i krokodyle.

Niebawem banda, złożona z piętnastu zbójów, uwodziła na swych łódkach czarodziejską lampkę, mając w swem gronie dwóch słabo, a jednego ciężko ranionego. My zaś w przeciwną stronę odjeżdżając na mulach, mówiliśmy między sobą o tem, że napewno nie tak łatwo bylibyśmy wyszli z tej przygody, gdybyśmy po swojej stronie nie mieli dwóch ludzi tej samej rasy co napastnicy, którzy skutkiem tego mogli się z nimi porozumieć i zaufali ich słowom.

Pan Stefan schował strzałę, która mu utkwiała w kapeluszu i zbadał ją, by się przekonać, czy nie miała w sobie jadu. Na szczęście, strzały Malajów nie były zatrute, ale mimo to od ich zadraśnięć ranki będą się nam na-

pewno w nieskończoność jątrzyły w tutejszym klimacie.

A mnie prawa ręka już porządnie boli i zdaje mi się, że puchnie w miejscach draśniętych strzałami. Przeszanę nawet pisać, żeby jej zbyt nie męczyć.

---

## XV.

Po sześciu tygodniach. — Ciężka choroba w puszczy. — Minjaturowe potwory. — Szpital na statku. — Podróż po Amazonce. — Drugi Palmal. — Piękne zdaleka — zblizka bolesne. — W gorączce. — Bociany pod równikiem. — Na co starczy zarobek całoroczny. — Spełnienie marzeń. — Obcy raj, swojski gaj.

Przez sześć tygodni nie dopisałem ani wyrazu do tego swego dzienniczka podróży i pamiętnika. Powracam dziś do niego, jakby do dawnego przyjaciela, przed którym zwierzałem się ze wszystkiego w zaufaniu.

Cóż za szkoda, że od dnia, w którym po raz ostatni, w kilka godzin po napadzie dzikich, zapisałem tu swoje wrażenia, nie mogłem przez tak długi czas nic notować z naszej podróży. Ale dopiero od kilku dni wiem dobrze, gdzie się znajduję, gdy cały czas przedtem nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się ze mną dzieje.

Zaraz nazajutrz po napadzie dostałem go-

rączki, a w dwa dni później straciłem już zupełnie przytomność. Rozchorowałem się ciężko. Co mi było właściwie, — alboż ja wiem! Opadły mnie naraz rozmaite choroby, jako prawie nieuniknione następstwo dla Europejczyka ośmiomiesięcznego pobytu w wilgotno-gorącym lesie wschodnich nizin Ekwadoru.

Dogodziły mi jednak zapewne najbardziej strzały z luków Polinezyjczyków, po których nastąpiło na szczęście tylko częściowe i nie zabójcze zakażenie krwi.

Zresztą, miałem już ciało strasznie rozjątrzone oddawna ciągłym kluciem moskitów i komarów. Miałem nogi owrzodzone skutkiem dwóch strasznych plag kraju równika. Jednej na imię selemba, drugiej nigua. Pierwsza, to kleszczyk czerwony, prawie okiem nie-dostrzegalny; druga to również malutka pchełka, która w podszewę wświdrowawszy się, składa w niej jajeczka, a żeby ją z ciała wyjąć całą, trzeba robić umyślną ranę.

Dziś moje nogi już zdrowsze, ale zapewne długo jeszcze nie wygoją mi się zupełnie. Prawa ręka jeszcze w bandażach. A po wewnętrznych chorobach czuję w całym organizmie osłabienie i pewnie jeszcze nierychło odzyskam zdrowie.

Wczoraj pierwszy raz po dwóch miesiącach pisałem list do rodziców. Dziś zaś piszę już pewniejszą ręką.

Siedzę w kajucie dużego statku parowego, którym płyniemy wzdłuż równika, na poprzek lądu amerykańskiego, przez Amazonkę.

Płyniemy tak od kilku tygodni z biegiem rzeki na wspaniałych falach tego najobfitszego w wodę z wszystkich strumieni świata; płyniemy prawie od samych Andów poprzez Brazylię aż po ujście Amazonki do Atlantyku.

Nawet nie wiem, kiedy rozstaliśmy się z Fidzinosem i Tahitim, z naszymi ciężko objuczonymi mułami i w jakich okolicznościach do-staliśmy się na Amazonkę.

Biedny pan Stefan musiał mieć wtedy ze mną niemało kłopotu i strachu, kiedy mu się tak ciężko rozchorowałem. Po długim czasie niewygód i prawie obozowego życia, otoczył mnie tutaj mój dobry opiekun wszelkimi wygodami, jakie można mieć na dużym statku. Leżałem w osobnej kajucie, mając ciągle pomoc lekarską.

Kiedy od kilku dni wstaję już z łóżka i wiem, co się ze mną dzieje, nie mogę od-żalować, że tej podróży nie mogłem od początku odbywać w zdrowiu, na pokładzie statku, podziwiając wszystkie jej uroki. Profesor mnie jednak pociesza, że kiedy tak dokładnie poznałem Palmal ekwadorski, nie straciłem tyle, ile sobie wyobrażam, nie oglądając ze statku brzegów Amazonki od początku podróży, ponieważ wszystko, coby tu zobaczył

w większych rozmiarach i tylko niemal w przełocie, tam już widziałem zbliżka i miałem czas poznać szczegółowo—tylko na mniejszą skalę. Bo tam, gdzie nas dzicy napadli, skończył się Palmal mniejszy, a tu, odkąd wsiedliśmy na statek, zaczął się Palmal podobny, tylko większy: Palmal Amazonki.

Przeplływamy, na przestrzeni przeszło tysiąca mil, olbrzymią równinę, na której po obu brzegach rzeki ciągnie się dziewiczy las podrównikowy, gdzie drzewa są jeszcze wyższe i jeszcze grubsze od tamtych, jakie poznałem w naszej podróży po Ekwadorze; gdzie gęszcz jest jeszcze bardziej nieprzystępny, a mrok wieczysty; gdzie jest jeszcze goręcej i duszniej, jeszcze wilgotniej, niżli było w tamtym Palmalu.

Zanim dostaniemy się na Atlantyk, będę miał chyba jeszcze sposobność, gdy już całkiem wyzdrowieję, podziwiać ten las-olbrzym nad rzeką olbrzymią. Ale już tylko z pokładu statku.

Nie wiem, czybym się odważył wejść znowu do takiego rajskiego ogrodu, po którym obok bajecznych wspomnień, zostaje człowiekowi tyle chorób trudnych do wyleczenia i na całe życie pozostawiających dotkliwe ślady — wiecznie odnawiające się cierpienia. Patrzyć na to zdaleka, to takie piękne i czarowne. Lecz zbliżyć się nie można inaczej, jak tylko

znowu wejść w te chmury strasznych owadów i wciągać w siebie wyziewy zabójcze.

A jednak kiedy się spotkam, gdy mi Bóg da szczęśliwie powrócić do kraju, z dawnymi kolegami i opowiadać im będę, gdzie ja był, com widział, to mi każdy pozazdrości mimo wszystko.

Ale bo też to cudny świat taki Palmal, po którym chodziłem i którego czarami napawałem oczy. Teraz zwłaszcza, kiedy tak w chorobie powoli odzyskując przytomność, wracałem myślą w tamte strony, opuszczone dopiero co, w całej pełni piękności stawało przede mną wszystko i odżywało na nowo.

Czasem zdawało mi się, kiedy w tej kajucie ze snu oczy otwierałem, że zbudził mnie łoskot podobny do uderzeń siekierami: to mały w koronie drzewa z takim hałasem rozbiły o gałęzie twarde owoc. To znowu zrywałem się na łóżku, słysząc wyraźnie dźwięk srebrnych dzwonek i fletu; nadśluchiwałem, przypominając sobie takie zdumiewające gwizdanie najznakomitszego śpiewaka Palmalu, sławnego cyforusa, zwanego flecistą, a którego w gęszczu nigdy odkryć nie można, tak swym kolorem zlewa się z otoczeniem.

To mi się znowu przed oczyma uwijały ty-rany i kotingi, i tanagry modroskrzydłe. To przypominałem sobie pilika zielonego z czer-

wonym brzuszkiem, lub trogona granatowego z żółtym brzuszkiem. Odpędzałem w gorącej od siebie myrmie w piórkach z łuską fioletową, najmniejszego z kolibrów, co na żółtej mimozie burczał jak trzmiel polskich łąk i ogrodów. To gonilem i z łóżka się zrywałem za najokazalszym chrząszczem całego świata, złotkiem olbrzymim, sześć centymetrów długim, żółtym pyłkiem okrytym, jak nasze szerszenie burczącym pod palmami, a którego lotów wspaniałych nigdy nie zapomnę.

Nieraz mnie prześladował żalosny świst kulona, lub trwożył przez sen wielki okrągły trop, o czterech rozstawionych palcach, trop niebezpiecznego jaguara, króla tych puszczy, przez które wędrowaliśmy, polując na czaple królewskie i białe ibisy, na różowe flamingi z czerwonymi skrzydłami, na fregaty z długim ogonem, o skrzydłach olbrzymich, co w dziesięciu godzinach zdolne przelecieć 2000 kilometrów; tych puszczy dziewiczych, w których brodatek siadywał na bambusach, a zielony zimorodek szukał w wodzie zdobyczy, a gdzie mybyśmy byli wszystkie najcudniejsze, złowione okazy oddali za jedną penelopę białoskrzydłą.

Najznakomitszy znawca skrzydlatej fauny Peru i jego okolic, zasłużony polski podróżnik, Jan Sztolcman, na wiele lat przed nami, jeszcze je tu widywał, łowił i opisywał nauko-

wo; myśmy już nie spotkali tego coraz rzadszego, a tak wspaniałego ptaka.

Kiedym się dziś rano zbudził w swojej kajucie, nie czułem, że nasz statek kołysze się na falach Amazonki, tylko mi się zdawało, że przeżywam jeszcze raz poranek nad jednym z jezior, gdzie obozowaliśmy raz w naszej podróży, a gdzie zobaczywszy stado dziewięciu tantalusów białych, o czarnych głowach i skrzydłach, na wysokich nogach, zmierzających szeregiem przez mieliznę po raka, krzyknąłem oszalały z radości: «Bociany, nasze bociany!» — i wybuchnąłem jak dziecko płaczem, po którym nie mógł mnie profesor uspokoić. Tak wybuchnęła we mnie wtedy tęsknota za ojczyzną; tak wybuchnęła we mnie ta tęsknota dziś rano, kiedy z takim wspomnieniem zbudziłem się cały we łzach.

Usiadł zaraz przy mnie na łóżku dobry pan Stefan i mówiliśmy długo o tem, co mnie do płaczu budziło.

Mówiliśmy o tem, jak mi żal rodzinnej zagrody, co w Borówce przeszła w obce ręce; jak mi żal ojca i matki, co wśród obcych muszą ciężko pracować; jak mi żal jedynej siostrzyczki, która zmarnieje na cudzym chlebie. Mówiliśmy o tem, żebyśmy po dziś dzień miał może jeszcze troje rodzeństwa, gdyby nie ta nieszczęsna podróż do Brazylii: jeszcze widzę ten obcy cmentarzyk w Paranie, w którym zo-



stawiliśmy, żółtą febrą zabite, dwie młodsze od Halinki siostrzyczki moje, bliźniaczki; jeszcze widzę tę smutną noc na Atlantyku, kiedyśmy już zaraz w drodze do Brazylii rozstali się z dziesięcioletnią siostrą moją, zmarłą na okręcie i tak niemiłosiernie na pastwę rekinów oddaną morzu.

Mówiliśmy o tem wszystkim dziś rano z panem Stefanem; i radziliśmy długo; i liczyliśmy, ile to ja przy nim przez rok zarobiłem grosza; — a nadewszystko, czy go starczy na urzeczywistnienie mych marzeń: na powrót rodziców z Halinką i ze mną do Polski i na odkupienie zagrody rodzinnej w Borówce. Na pierwsze dość byłoby moich oszczędności, na drugie—znacznie za mało. Lecz poczciwy pan Stefan pomoże i ułatwi mi wszystko. Ja mu zaś za wszystko kiedyś się odwdzięczę.

Z jego pomocą obiecuję sobie w ciągu roku przygotować się do wstąpienia do szóstej klasy gimnazjum w Warszawie, by móż przedewszystkiem szkoły skończyć. Dostanę lekcje i sam się potrafię utrzymać.

A rodziców osadzę z powrotem na roli w Borówce, w której żywy przykład ich nieszczęść minionych, będzie odstraszał sąsiadów od ucieczki za morze.

Jutro wysyłamy listy do Rio de Janeiro ze wskazówkami, w którym porcie Brazylii ma-

my się spotkać z rodzicami, by z nimi razem ruszyć przez Atlantycką do Europy i do Polski.

Daleko nam do niej jeszcze, a nasi Maori już w tej chwili może dopłynęli do rodzinnej wyspy... Szczęśliwi!

A kiedy i my się znajdziemy w swojej ojczyźnie, pewnie każdy z nas powtórzy sobie nieraz, że są po świecie bajecznie piękne raje palmowe pod obcym niebem i nad cudzemi wodami; lecz Polakowi najcudniejszy raj na świecie nie zastąpi drogiej, świętej ziemi polskiej z gajem swojskich brzoź.

K O N I E C .





75645

## T R E Ś Ć

- I. Opuszczenie wsi rodzinnej — Trzy klasy szkolne w Warszawie. — Śmierć dobrodziejki. — Sprzedanie zagrody w Borówce i wyjazd z rodzicami do Brazylii. — Wspomnienie kolegów — Co Lolo Rozumek wie o Ameryce Południowej . . . . . 5
- II. Po roku męki w Paranie, ucieczka do Rio Janeiro. — Pożegnanie z rodzicami. — Niespodziewane spotkanie z dawnym nauczycielem. — Podróż naukowca prof. Skierskiego. — Janek Orsza jego pomocnikiem i towarzyszem podróży — Z Brazylii do Argentyny. — Koleją na poprzek Ameryki. — Stepy i góry. — Przez ocean Wielki . . . . . 9
- III. Na Pomorzu Peruwiańskiem. — Fidżinos i Tahiti. — Coby o nich myślano w Borówce. — Chłop czy baba? — Kolorowi ludzie. — Nasi czekoladowi służący. — Język jakiego niema na świecie . . . . . 17
- IV. Przez Zarumillę do Palmalu. — Czarodziejski ogród nad rzeką graniczną — Siwobrode olbrzymy na straży. — Dzikie byki — Polowanie na kuropatwy. — Mój strzał. — Myślą z Ameryki do Australji. — Białe orły z góry Kościuszki. — Świat dziwów. — Nowozelandczycy na tułactwie. — Tęsknota dawnych ludożerców do ojczyzny. — Latające gwiazdki. — Wspomnienie Polski. — Sen o srebrnym ptaku . . . . . 22
- V. Biurko na kolanie. — Brak czasu. — Wypychanie ptaków pod równikiem. — Polscy przyrodnicy u stóp Andów. — Dziwy Palmalu w Warszawie . . . . . 33
- VI. Plaga moskitów i komarów. — Co lepsze? . . . . . 36
- VII. W domku na palach. — Kaczka na pniu. — Nielatwo być profesorem. — Ptak-zegar. — Gniazdo w brodzie 37

- VIII. Raj Palmalu. — Latające kwiaty. — Roślina wąż. — Bamsuy w powojach. — Cuda w przyrodzie, a na rycinie . . . . . 40
- IX. Las nad lasem. — Wiszące ogrody. — Epifity. — Korzenie powietrzne. — Przezorność storczyków. — Udużone drzewo. — Osobliwy koszyk. . . . . 44
- X. Ptaki w mrowiskach. — Wyprawa po papużki. — Wypchany Piotruś. — Moje pierwsze dzieło. — Ekwadorscy strzelcy i handlarze piór. — Ofiary dla nauki i dla mody . . . . . 50
- XI. Palmy kokosowe. — Jak małpa zrywa orzechy dla ludzi. — Co można zrobić palcem u nogi. — Użytek z kokosów. — Pływające owoce. — Westchnienie ku ojczyźnie . . . . . 54
- XII. Jeszcze jedna plaga. — Napad ecitonów. — Bezplatni czyściciele domu. — Ryk lwa. — Czarny wyjec i pani Tornando. — Porwanie przez krokodyla — Ucieczka węża. — Królewski ptak z wachlarzem. — Potworna wilgoć . . . . . 59
- XIII. Morze płomieni. — Rolnik bez pluga. — Jak się w Ameryce gospodaruje na roli. — Wycinanie i palenie lasów dziewiczych. — Straszne wspomnienia. — Kłopoty wychodźców. — Piekło i raj. — Oplakane skutki wilgoci. — Błogosławione banany. — Szczęście zamorskie . . . . . 66
- XIV. Pożegnanie Palmalu. — Noc na czatach — Na opuszczonej kolonji. — Zbiegi z Putumajo. — Wyprawy po wieloryby. — Zbójcy z Polinezji. — Napad brunatnych bandytów. — Strzelanina. — Czarodziejska latarka. — Strzała na pamiątkę . . . . . 76
- XV. Po sześciu tygodniach. — Ciężka choroba w puszczy — Minjaturowe potwory. — Szpital na statku. — Podróż po Amazonce. — Drugi Palmal. — Piękne zdalka — zblizka bolesne. — W gorączce. — Bociany pod równikiem. — Na co starczy zarobek caloroczny. — Spełnienie marzeń. — Obcy raj, swojski gaj . . . . . 85



Druk M. ARCTA w Warszawie, Ordynacka 3.

1913.

